Cena: 30 milsów

W DRODZE

DWUTYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI

Nr. 8 Jerozolima, 16 lipca 1943 r. Rok I

W numerze:

Gen. W. Sikorski: Dwie wypowiedzi. Przedmowa do czwartego wydania „Nad Wisłą i Wikrą". W roku 1937 o celach niemieckich. — **T. Terlecki:** Polska a Francja. — **J. Paczkowski:** Ça va! — **K. Grzybowski:** Rząd prawa. — **K. Pruszyński:** Odwet za Warszawę, za Kutno, Siedlce i Wrzesień. — **Z. Broncel:** Do Generała. — **T. Milewski:** Dojdziesz. — **J. Bazarewski:** Obłoki, gołębie, kamienie. — **E. Mieroszewska:** Sprzymierzeńcy polskiej niedoli. O działalności pp. Loch. — **Z. Broncel:** Z ducha Piłsudskiego. Wiersze Wierzyńskiego na emigracji. — **sz.:** Podręczniki do nauki języka polskiego. — **D. Szczerbic:** Opinie angielskie. — **ww.:** Przegląd polityczny. — **J. Knake:** Polskie wsię w Afryce. — Z prasy obcej.

GEN. SIKORSKI NIE ŻYJE

Znaczenie polityczne tragicznej śmierci gen. Sikorskiego można krótko ująć w jednym zdaniu: śmierć ta jest dla sprawy polskiej ciężką klęską.

Jeśli wśród narodów sprzymierzonych, których ziemie zostały zdobyte i są okupowane przez Niemcy, zajęliśmy specjalne miejsce, zawdzięczamy to przede wszystkim temu, że od naszego „nie" ta wojna się zaczęła, oraz jednolitej, zmuszającej cały świat do szacunku postawie narodu polskiego wobec najeźdźcy. W nie najmniejszej jednak mierze zawdzięczany to i tej wyjątkowej pozycji, jaką miał Sikorski w obozie Sprzymierzonych. Wśród mężów stanu narodów okupowanej Europy zajmował stanowisko czołowe. To jego wyjątkowe stanowisko znalazło swój wyraz formalny w tym, że przy różnych okazjach reprezentował narody sprzymierzone, przewodniczył na międzyalianckich konferencjach. Miał zarówno w Londynie, jak i w Waszyngtonie doskonałą pozycję osobistą i umiał ją przy różnych okazjach dla dobra sprawy polskiej wyzyskać.

Wiele czynników złożyło się na to, iż autorytet osobisty gen. Sikorskiego wyrósł tak wysoko. Wybitny mąż stanu łączył się w jego osobie ze znakomitym znawcą wiedzy wojskowej, co w warunkach wojennych musiało mieć szczególną cenę, a co wcale nie jest połączeniem częstym. Jego książka o „Wojnie współczesnej", wydana w r. 1934, przetrzymała surową próbę operacji wojennych obecnej wojny: w roku bieżącym ukazał się jej przekład angielski. Miara to tego, jak wysokiej klasy fachowcem wojennym był Sikorski i jak przenikliwie umiał ocenić charakter przyszłej wojny na pięć lat przed jej wybuchem. Miarą jego bystrości politycznej jest systematyczna kampania prasowa, jaką przed wojną prowadził w „Kurierze Warszawskim", ostrzegając przed niebezpieczeństwem inwazji niemieckiej. Poprzez kilkakrotne wystąpienia na łamach prasy francuskiej ostrzeżenia te zdobyły międzynarodowy rezonans.

Gen. Sikorski zdobył sobie jednak w świecie uznanie nie tylko dla zalet swego intelektu. W Londynie i w Waszyngtonie miano do niego zaufanie. Wiedziano, że przez cały ciąg swego życia był wyznawcą zasad demokratycznych i wrogiem ustrojów totalitarnych. Anglicy i Amerykanie wiedzieli, że jest to człowiek, który mówi tym samym językiem, co oni, który żyje w świecie wspólnych z nimi pojęć i ideałów. Wiedziano, że jest to człowiek naprawdę współczesny, który potrafi sprawę polską przemyśleć w tych kategoriach, jakimi świat współczesny żyje.

Ten kredyt moralny, jaki posiadał, znakomicie wzmocnił przez swą postawę w czerwcu 1940 r., w momencie klęski Francji. Nie załamał się wówczas, nie stracił wiary, ale zdobył się na szybką decyzję związania sprawy polskiej z losami Anglii i zdołał uratować, co się tylko dało, z wojska polskiego we Francji. Dziś wydaje się nam takie postępowanie jedynie trafnym, co więcej, jedynym naturalnym, Wtedy jednak wymagało nie byle jakiej siły ducha i zdolności decyzji.

Rozumiał, że na to, aby być dzisiaj skutecznym orędownikiem sprawy polskiej na forum międzynarodowym, trzeba tę sprawę powiązać z hasłami o znaczeniu **uniwersalistycznym.** Takimi były hasła demokracji, współpracy międzynarodowej przy prawdziwej niepodległości narodów „mniejszych". Warunki, zapewniające skuteczną współpracę między narodami, a zarazem broniące ich przed zakusami mocarstw, widział w systemie federacyjnym, którego był gorącym wyznawcą.

Był politykiem **realnym,** jasno orientującym się w możliwościach i koniecznościach chwili bieżącej. Ale równocześnie — umiał wysoko trzymać sztandar polskiej godności narodowej. Przez cztery bez mała lata kierował polską nawą państwową jako premier rządu emigracyjnego, a więc rządu, który z natury rzeczy pozbawiony jest tego współczynnika siły, jaka jedynie może dać najpełniejszą gwarancję skuteczności obrony interesów narodowych i narodowej godności. A jednak mimo to potrafił tą nawą tak kierować, że ani razu nie naraził na szwank żywotnych interesów państwowych, czy godności. A przecież nie były to lata łatwe, a sytuacja nasza nie należała i nie należy do najlżeszych.

I swoim, i obcym imponował rzutkością, energią, wszechstronnością w pracy. Od początku wojny on sam kierował polityką zagraniczną państwa. Od czasów pamiętnego kryzysu gabinetowego z lipca 1941 r. sam wziął w swoje ręce kierownictwo podziemnym ruchem zbrojnym w Kraju. Kierował jako premier pracami Rządu. Odbywał liczne podróże. Każda z tych podróży — do Stanów Zjednoczonych, Rosji, na Bliski Wschód — była ważnym wydarzeniem w naszym życiu politycznym.

Jego posunięciem politycznym, które było szczególnie ostro atakowane i natrafiło na sprzeciw nie tylko znacznego odłamu opinii emigracyjnej, ale i części gabinetu, był traktat polsko-sowiecki z 30 lipca 1941 r. A przecież podpisując ten traktat, Rząd nie poszedł na żadne ustępstwa z żywotnych interesów państwa polskiego, a osiągnął szereg arcyważnych doraźnych korzyści. W rezultacie traktatu udało się polskie siły zbrojne znakomicie powiększyć, a następnie wydostać z ZSRR. Udało się roztoczyć opiekę władz polskich nad obywatelami polskimi w ZSRR, gwałtownie tej opieki potrzebującymi, a kilkadziesiąt tysięcy z pośród nich przerzucić poza granice Związku Sowieckiego.

Ile było mądrości politycznej w zawarciu tego traktatu, to się najdobitniej okazało w tym momencie, kiedy został on przez ZSRR jednostronnie zerwany. Bez niego sytuacja polityczna naszego Rządu w obliczu prowadzonej bardzo zręcznie i energicznie sowieckiej ofensywy dyplomatycznej byłaby bez porównania trudniejsza: gdyby pakt nie istniał, punktem wyjścia konfliktu byłoby nie jednostronne zerwanie go przez stronę sowiecką, ale nasza odmowa współpracy. W warunkach bardzo trudnych i skomplikowanych, w jakich postawiło nas zerwanie stosunków przez ZSRR, Sikorski potrafił sprawę polską poprowadzić w ten sposób, że nie doznała ona żadnego uszczerbku.

Następcy jego przejmą po nim kierownictwo polityką polską w momencie bardzo trudnym, kiedy jego autorytet, stosunki, jakie miał w Londynie i w Waszyngtonie, i doświadczenie polityczne byłyby szczególnie potrzebne. We wspomnieniach i artykułach pośmiertnych tak często mówi się o „osieroceniu", że chciałoby się tutaj odpędzić ten wyraz, jako wytarty liczman. Ale nie sposób to zrobić, skoro jest to jedyny wyraz, który trafnie charakteryzuje nasze położenie. Ze śmiercią gen. Sikorskiego czujemy się naprawdę osieroceni.

Generał broni Władysław Sikorski, Prezes Rady Ministrów i Naczelny Wódz, zginął śmiercią żołnierza dn. 4 lipca b. r. Śmierć wielkiego Polaka, który był dla nas niestrudzonym i niezastąpionym przewodnikiem w walce o wolną i demokratyczną Polskę, a dla świata niezmordowanym orędownikiem i ucieleśnieniem naszej woli i praw do życia, pogrążyła Naród Polski w żałobie.

Z ostatniej konferencji prasowej

W dniu 2 b. m. w Kairze odbyła się konferencja prasowa, na której do dziennikarzy całego świata przemawiał generał Sikorski. Mówił o sprawach nie tylko polskich i mówił z tym autorytetem moralnym, jaki daje świadomość naszego udziału w tej wojnie. Straciwszy w samotnej walce wrześniowej i kraj, i Armię, pomagają Polacy następnie wszystkim swoim aliantom. Ekspedycja do Narviku składa się w 50 procentach z sił lądowych polskich. Ta sama armia bije się we Francji dłużej, niż jakiekolwiek inne oddziały. Osłania odwrót sił brytyjskich na Dunkierkę. Wojska Polskie lądują z artylerią i czołgami w Wielkiej Brytanii wówczas, gdy nie było na Wyspie dostatecznej ilości karabinów ręcznych. Lotnicy polscy biorą udział w bitwie o Anglię i do nich też odnoszą się słowa brytyjskiego Premiera, o wdzięczności każdej brytyjskiej rodziny. Był okres, że Imperium Brytyjskie miało tylko jedną armię sprzymierzoną, która znajdowała się w akcji. Była to Armia Polska.

Upłynęło już parę lat od tego momentu. Rosły siły Sprzymierzonych, powiększał się ich obóz. Rośnie także Armia Polska, i dzisiaj z dna rozpaczy dochodzimy do pewności zwycięstwa. Jednocześnie politycy robią obrachunek sił i czynników, które trzeba będzie wziąć pod uwagę przy przyszłej budowie świata. Niektórzy z nich kierują się tylko t. zw. racją stanu, tylko realne siły biorą pod uwagę. Należy się obawiać, że ta metoda może doprowadzić tylko do fałszywych rezultatów. Za elementem siły gospodarczej, militarnej, stoi charakter narodu, jego wierność powziętym zobowiązaniom, umiłowanie wolności. Za elementami siły stoi historia dni dzisiejszych i dawnych. Nikt nie przekreśli tego faktu, że wojna rozpoczęła się 1 września 1939 i że Warszawa pierwsza była zbombardowana.

Można o tych rzeczach nie chcieć pamiętać. W toku wojny nastąpiły przesunięcia, które sugerują pewnej kategorii polityków tego rodzaju taktykę. Nastąpiły także jednak przesunięcia znacznie bardziej zasadnicze. Obecnie, gdy samoloty mogą masowo przelatywać przez Atlantyk, Stany Zjednoczone znalazły się w sercu spraw europejskich. Znalazły się tam nie w roli biernego widza, ale czynnego aktora. Wielokrotnie też zdołały przeprowadzić zasadniczą korekturę. Obserwujemy fakt, że plany urządzenia Europy, pomijające te prawdy historyczne, o których poprzednio wspomnieliśmy, znalazły zły grunt w Ameryce. Autorzy tych planów, zetknąwszy się z opinią amerykańską, przypominali sobie o istnieniu wartości moralnych, których nie brali pod uwagę.

O tych wartościach mówił na konferencji kairskiej generał Sikorski. One, Jego zdaniem, uzasadniają prawo Rzeczypospolitej do Prus Wschodnich, one stanowią podstawę polityki polskiej, a w szczególności udziału Polski w budowie przyszłej Europy.

Już w 1939 roku Rząd Polski przedstawił projekt federacji. Projekt ten spotkał się z aprobatą zainteresowanych. Działało tu przekonanie, że te właśnie siły moralne, które wprowadziły Polskę w obóz Sprzymierzonych, stoją za programem organizowania Europy, o intencjach nieco odmiennych od idei prof. Carra. Rozwiązania gen. Sikorskiego, to nie układ siły, nie strefy wpływów możnych, ale związek wolnych z wolnymi i równych z równymi. Celem, jak wyjaśniał na konferencji gen. Sikorski, tych bloków i federacji jest zabezpieczenie pokoju i interesów małych państw.

Dzisiaj, gdy widać już zarysy przyszłego pokoju, gdy już są znani uczestnicy przyszłej konferencji pokojowej, mężowie stanu poszczególnych państw przeprowadzają manewry wstępne. Mają one zapewnić najkorzystniejszą w tej pokowej rozgrywce pozycję. Są państwa, które dzięki swemu położeniu mogą sobie pozwolić na takie manewry. Idą one nieraz tak daleko, że podstawę samodzielnego udziału w organizowaniu świata zastępują programem wasala.

Należy się jednak obawiać, że jest to błędna polityka. Dzisiaj, gdy wszystkie narody Europy okupownej znajdują się z punktu widzenia siły materialnej w podobnym położeniu, charakter narodu i wierność zasadom dawały politykom szczególne stanowisko. Te elementy muszą być zasadniczym czynnikiem w organizacji Europy.

Gen. Sikorski i Rząd nie przeprowadzali manewrów. Następcy gen. Sikorskiego tak samo tych manewrów przeprowadzać nie będą.

.Konrad Prus

GEN. WŁADYSŁAW SIKORSKI

Dwie wypowiedzi

Wstęp do czwartego wydania „Nad Wisłą i Wkrą"

Zdala od Polski, z którą złączeni jesteśmy każdym fibrem swej duszy, dochodzi do skutku czwarte wydanie tej książki. Jej treścią jest wojna z Rosją, zakończona naszym tryumfem, pomimo że armia polska była podowczas w stadium organizacji.

Błędem w tej wojnie był, z polskiej strony, system kordonowy, zastosowany na froncie przy braku odpowiednich sił i środków, w jej pierwszej fazie. Poszukując wszędzie siły, byliśmy wszędzie słabi. To też następstwem tej falszywie pojętej obrony biernej było to, że bolszewicy stanęli z początkiem sierpnia 1920 r. pod murami Warszawy. Zaapelowano wtedy do całego narodu. Zwrócono się również wprost do żołnierza. Zastosowano odmienny system prowadzenia operacji, przechodząc po przegrupowaniu dywizji do przeciwnatarcia w wielkim stylu. Zwycięstwo, i to zupełne, było wynikiem tych zmienionych po naszej stronie metod wojowania.

Dają się dzisiaj słyszeć głosy, który stwierdzają, że ten niełatwy, lecz stosunkowo szybki sukces stał się źródłem naszej gwałtownej klęski w r. 1939. Że wywołał u nas wiarę nadmierną w siły moralne przy równoczesnym zbagatelizowaniu materialnych środków walki. Tak więc fałszywe wnioski, wysnute przez nas z doświadczeń 1920 roku, miały jakoby zaciążyć ujemnie na uzbrojeniu i wyekwipowaniu armii.

Nie podzielam wcale tego poglądu. W latach 1923-1926 wojsko polskie nastawiano w sposób zdecydowany i świadomy na drogę śmiałego i odpowiadającego duchowi czasu postępu. Nie lekceważyliśmy wtedy technicznego sprzętu bojowego. Wprawdzie na manewrach wołyńskich w r. 1925 jazda nasza okazała się najsilniejszą kawalerią świata, ale i ta broń, odpowiadająca warunkom i potrzebom polskich obszarów operacyjnych, była modernizowana stopniowo i metodycznie. Rozbudowę broni pancernej planowano wtedy na wielką skalę. Zreorganizowano artylerię, zakupując we Francji około 900 dział. Polskie siły powietrzne natomiast, składające się z 6 pułków, rozporządzały z końcem 1925 r. poważniejszą ilością samolotów, aniżeli w momencie niemieckiej na Polskę napaści. Zamówienia, dokonane i zapłacone przez nas podówczas we Francji, zapewniały tej broni, która odegrała w ostatniej wojnie polsko-niemieckiej rolę decydującą, rozwój potężny. I tylko zaślepienie późniejsze, nie uznające wcale lotnictwa, ani broni pancernej, doprowadziło do całkowitego zmarnowania tego tak celowego początkowo wysiłku. Dotyczy to również polskiej marynarki wojennej, której program ustalony przez nas, a uchwalony przez Sejm w 1924 r., przewidywał o wiele poważniejszą ilość morskich jednostek bojowych, aniżeli ich posiadamy obecnie.

Wspominam o tych faktach jedynie dlatego, ażeby uchylić fałszywe sądy, które mogłyby nas zepchnąć na bezdroża i doprowadzić do zlekceważenia sił moralnych na wojnie. Jak natomiast żołnierz owiany najlepszym duchem, lecz pozbawiony broni nowoczesnej, musi przegrać walkę z przeciwnikiem uzbrojonym należycie — tak i najlepiej nawet zaopatrzona w sprzęt bojowy armia rozsypie się w pewnym momencie w gruzy, gdy nie ożywia jej wielka idea i gdy za nią nie stoi naród, świadomy swej misji, zwarty i solidarny. To prawda, że maszyna zastępuje dzisiaj często na polu bitwy człowieka. To też wielkość i siła państwa oraz jego potencjał obronny zależą wprost od trafnie ujętej syntezy moralnych i materialnych czynników zwycięstwa, polegają na harmonii techniki wojennej z duchowymi wartościami narodu i jego wojska.

I jeżeli dzisiejsze naloty na Londyn i inne miasta angielskie, wyróżniające się nieznanym w dziejach świata barbarzyństwem, nie dają pożądanego przez Trzecią Rzeszę rezultatu — zawdzięczamy to faktowi, że taki właśnie jest naród brytyjski. Naloty te nękają ludność cywilną, siejąc wśród niej zniszczenie i śmierć. Lecz Niemcy nie wygrają w tej płaszczyźnie wojny, gdyż nie złamią ducha Brytyjczyków, których wzorowa oraz zdyscyplinowana postawa i wola walki aż do zupełnego zwycięstwa odniesie wreszcie tryumf ostateczny. Inaczej zachowują się w okresie ciężkiej próby narody rządzone przez dyktatorów, którzy zrabowali im wolność. Nie wytrzymają one psychicznie wojny długotrwałej, chociażby rozporządzały jak najbogatszym uzbrojeniem.

Naród polski wykazuje w tej niebywałej w historii ludzkości katastrofie bohaterstwo niezłomne, które znajduje coraz większe zrozumienie i uznanie świata. Jest on źródłem niewyczerpanych sił moralnych, a te odegrają jeszcze w okresie przełomowym toczącej się wojny rolę rozstrzygającą.

Londyn, 10 grudnia 1940 roku.

W roku 1937 o celach niemieckich

Można wyrazić pewność, że poza sporadycznie spotykanymi outsiderami, fantazjującymi w polityce — nikt ze strony polskiej o sojuszu z Niemcami nie myśli. Co innego bowiem pożądane ze wszech miar ustalenie zasad zgodnego współżycia sąsiedzkiego, a co innego niebezpieczny w samym założeniu majak jakiegoś sojuszu polsko-niemieckiego. Dobitnie poucza nas o tym historia.

Niesamowita zaś ciągłość germańskiej polityki imperalistycznej posiada swoją wymowę wyraźną. Pochód cesarstwa niemieckiego na wschod, Krzyżacy i Prusy, Rzesza niemiecka i republika wejmarska, a wreszcie narodowo-socjalistyczne Niemcy pozostają stale wierne wynikającym stąd nakazom. Przed stu kilkudziesięciu laty przymierze Prus z Rosją stało się jedną z przyczyn rozbioru Polski. Nie tak zaś dawno najwybitniejszy przedstawiciel Niemiec demokratycznych, minister Stresemann zabiegał o porozumienie z Francją, celem zyskania pełnej swobody ruchów na wschodzie, co miało mu umożliwić porachunki Rzeszy z odbudowanym przez traktat Wersalski Państwem Polskim.

A jak jest w Trzeciej Rzeszy? Różnica pomiędzy dniem wczorajszym a dzisiejszym polega w tym względzie jedynie na daleko większym rozmachu i zasięgu wydarzeń, przygotowywanych przez Niemców na wschodzie. Ich treść pozostała niezmieniona i ta sama.

Co do kierunku, w jakim ewentualnie uderzyłyby główne siły niemieckie z chwilą wybuchu nowej wojny, zdania fachowców są podzielone. Jedni z nich twierdzą, że powtórzyłyby się wtedy wydarzenia z sierpnia 1914 roku. A zatem najpierw rozprawa z przeciwnikiem najsilniejszym liczebnie, Francją, a potem dopiero przeniesienie działań rozstrzygających gdzie indziej. Nie jest to wyłączone a priori, gdyż przełamanie linii Maginota przez skoncentrowane nagle jednostki pancerne byłoby możliwe. A za nim poszłoby wtargnięcie do wnętrza Francji wojsk zmotoryzowanych, atakujących Paryż pospołu z potężną flotą powietrzną. A więc alternatywa wojny niemieckiej, przeciwstawiająca zachód wschodowi i odwrotnie, rozważana na podstawie podejmowanych w Niemczech robót fortyfikacyjnych, nie prowadzi do celu. Jedno natomiast jest pewne. A mianowicie fakt, że niemiecki sztab generalny po ukończeniu prac, będących w toku, zamieni Niemcy w prawdziwy obóz warowny i zyska przez to niebywałą swobodę operacyjną. I wtedy o użyciu podległych mu sił głównych w dobie wojny rozstrzygać będzie nie tylko strategia, lecz i polityka. Z tego też względu wytrwałe zabiegi Niemiec hitlerowskich o wolną rękę na wschodzie są bardzo charakterystyczne i zasługują na naszą uwagę najbaczniejszą. Na początek mogłaby Niemcom wystarczyć ofensywa przeciwko Czechosłowacji, o której możliwości tak głośno było w świecie. Byłaby to jednak próba generalna późniejszego ich uderzenia na wschód. Wymierzona dziś jakoby przeciw Rosji, zwróciłaby się łatwo bezpośrednio przeciw Polsce, jako najbliższemu sąsiadowi niemieckiego „narodu bez przestrzeni". Polityka na terenie „Wolnego Miasta" Gdańska, wichrzenia nacjonal-socjalistyczne na Śląsku, ciężkie położenie mniejszości polskiej w Niemczech i rozagitowanie mniejszości niemieckiej w Polsce, wśród której, jak to procesy sądowe wykazały, znajdują się na tyle rozzuchwaleni obywatele, że urządzają tajne obozy pracy w naszym kraju i organizują wojskowo młodzież przeciw państwu, oraz polityka wschodnia i bałtycka Trzeciej Rzeszy czynią prawdopodobną tę tezę.

Ewentualny sojusz z Polską musiałby być traktowany przez Niemcy jako kombinacja przejściowa, powstająca w wyniku niepowodzeń dyplomatycznych na innym terenie. To też mierne sukcesy dra Schachta w Paryżu, a marszałka Blomberga w Londynie, zrodziły lansowane w dziennikach berlińskich pogłoski o zbliżeniu podobnym. Nie wykazują one wcale ewolucji zasadniczej poglądów, wyznawanych nad Sprewą. Trzecia Rzesza nie sprzeniewierzy się nigdy dążeniom i hasłom zdobywczego germanizmu. W chwili obecnej zresztą pogodzić trudno sprzeczności, jakie zachodzą pomiędzy obu państwami, których interesy krzyżują się tak często w życiu. Sprzeczności te zarysowują się zawsze, ilekroć mowa o dyrektoriacie czterech mocarstw, który był tak bliski powstania w okresie zapowiadanej podróży ministra Neuratha do Londynu; gdy Niemcy usiłują odebrać Polsce, a czynią to przy każdej sposobności, przypadającą jej rolę na wschodzie; gdy podejmują próby zorganizowania t. zw. Mitteleuropy; oraz gdy ogłaszają się szampionem i protektorem nowopowstałych państw, w mniemaniu że wszystkie drogi prowadzą do Berlina.

Polska, wewnętrznie silna, w swych decyzjach zewnętrznych niezależna i z mocarstwami zachodnimi solidarna może i powinna odegrać rolę przodującą. Od niej przede wszystkim zależy konsolidacja ostateczna Europy Wschodniej, a pośrednio i Środkowej. Warunki do podobnego przedsięwzięcia z jej strony istnieją na zachodzie. Nie brak ich u naszych słabszych sąsiadów. Istnieją również wzory podobnej misji historycznej, wypełnionej chlubnie przez Polskę. Odnajdziemy je łatwo w najświetniejszym okresie naszej przeszłości. Świadczy o nich wiekopomna tradycja Jagiellonów, gdy służyli samodzielnie polskiej racji stanu zarówno na wschodzie, jak i w centrum Europy".

„Kurier Warszawski" z dn. 14.VII.1937.

TYMON TERLECKI

POLSKA A FRANCJA

Nie trzeba taić tego faktu, że przyjaźń polsko-francuska, że to, co można by nazwać przymierzem psychicznym, że pokrewieństwo losów i powinowactwo postaw życiowych, że cała odpowiedniość czy przystawanie francusko-polskie mija punkt krytyczny. Nie trzeba taić tego faktu. Chwile, ktore przeżywamy, są ciężką, okrutną próbą, ale stanowią także sposobność, pozwalającą sprawdzić wiele rzeczy. Wielu sprawom nadać sens pełny i istotny. Tak jest ze sprawą: Polska-Francja.

Ten związek, ten sprzęg dwu rzeczywistości, dwu światów, dwu wyobrażeń o życiu jest w stanie zagrożenia, jak cała tresć, cała duchowa struktura europejska, jak cała humanistyczna koncepcja życia, którą Francja wcielała najbardziej twórczo, najczyściej i najdoskonalej na Zachodzie, a Polska przepierała pionersko i ofiarnie na wschodzie Europy.

Należy sobie zdać jasno sprawę z tego stanu rzeczy. Sedno jest tutaj, nigdzie indziej. Jeśli je dojrzeć, bez wątpliwosci odpadają z problematyki polsko-francuskiej wszystkie szczegóły drugorzędne. Biologiczna tresć Francji i biologiczna treść Polski są dziś sprzęgnięte ścislej, są bardziej współzależne, niż kiedykolwiek w historii od samego jej początku, od XI-ego stulecia, kiedy Benedyktyni kluniaccy (z Cluny) szczepili na pniu polskim zaródź łacińsko-francuskiej kultury uniwersalnej.

To twierdzenie, że jesteśmy dziś, w trzy lata po kapitulacji zrośnięci, spętani silniej, niż kiedykolwiek, brzmi, jak paradoks. A przecież jest prawdziwe. Kryzys istnieje na zewnątrz, nie na wewnątrz związku Polski i Francji. Jest to kryzys nie struktury tego związku, ale jego zagrożenia przez strukturę obcą mu, przeciwną, nieprzejednanie wrogą. Jest to kryzys, który ten związek najwymowniej, najdobitniej potwierdza.

Analityczna powieść francuska — największy, najwspanialszy dokument duszoznawstwa po Szekspirze — rozstrząsnęła wielokrotnie mechanizm reakcji ludzkiej na cierpienie. Pokazywała moc przyciągającą i niekiedy równie gwałtowną siłę odpychającą, jaka jest w doświadczeniu tragicznym. To samo ważne jest dla zbiorowości. Zamknięte w ten sam krąg losu mogą one ciążyć ku sobie, mogą się też od siebie odwracać. Jeśli zachodzi kiedy to drugie, nie dajmy się temu zmylić. Jeśli zdarza się pierwsza możliwość, warto być świadomym jej ludzkiej piękności, jej społecznego znaczenia.

Na ostatnim kongresie międzynarodowym Pen-Clubu, w Londynie, pisarz norweski, p. Wilhelm Keilhan wystąpił z tezą „o nieistnieniu Europy" jako całości odrębnej pod jakimkolwiek względem. My Polacy, i jesteśmy pewni, że wszyscy obecni na tym zebraniu Francuzi, czuliśmy, jak ta teza jest oczywiście i wyzywająco absurdalna. Właśnie Francja i Polska, ich dorobek, ich ideaż kulturalny, ich wielowiekowy związek dowodzą istnienia zwartego bloku humanistycznej kultury zachodniej.

Nie chodzi tu o kurtuazję w rodzaju powiedzenia: „Paryż zaczyna się na brzegach Wisły", bo z takich powiedzeń łatwo wycieka treść. Chodzi tu o niewątpliwą, bezsporną samowiedzę, jaką ma każdy Polak, który odetchnął powietrzem Francji, powietrzem jej historii, powietrzem jej cudownej sztuki.

Warto może przypomnieć, że tej świadomości Francja dała początek. To Francuzi byli autorami zbliżenia do Polski, w ich wyobraźni zarysowała się intelektualistyczna, można by rzec inżynierska koncepcja przerzucenia przęsła nad Europą, wspartego o ziemię francuską. Ambasador Henryka III, Jean de Montluc, zabiegający skutecznie o tron Polski dla Henryka de Valois, musiał instynktem obiegać granice tego bloku, musiał czuć ośrodki jego równowagi: jeden na zachodzie, drugi na wschodzie Europy.

Czuli go inni: i Colbert, i Vergennes, i Choiseul, z coraż to bardziej oczywistą jasnością. Im dalej w historię Europy, groźba dla tego bloku kulturalnego, który wiąże Francję i Polskę przesuwa się z jego krańców ku środkowi. Francuzi już dawno zapomnieli o tym, że w obronie tej europejskiej jedności kulturalnej trzeba było stawać pod Poitiers przeciwko Arabom. Polska wytrzymała, ze zmiennym szczęściem, z nieporównanie większym wydatkiem krwi i energii, wielowiekowy napór na ten blok, ze wschodu (tatarski, turecki, rosyjski). Groźba dla tego bloku, siła rozsadzająca, skupia się i spręża w środku Europy. Straszy już ona Jana de Montluc, straszy inicjatorów daremnego w następstwach aliansu z Rosją carską, który nas Polaków tak bardzo bolał i który jest tak uderzająco podobny do dzisiejszych decyzji pewnej części społeczeństwa francuskiego. Ta groźba, narastająca przez stulecia, kulminuje po raz pierwszy w zbójeckim, przyciszonym wskazaniu przez Fryderyka Wielkiego okazji do rozbioru Polski: „Chwila jest sprzyjająca. Francja śpi".

Ta dialektyka powtórzyła się w roku 1939 i 1940 z tą całą bezwzględnością, z jaką występowała poprzednio. Póki Polska trzyma na sobie ciężar Niemiec, póty Francja rośnie. Gdy Polska pada, niszczący pęd kieruje się ku rajskim równinom Francji.

Dziś, gdy z samego dna klęski i niedoli patrzymy ku sobie, trzeba nam koniecznie ufać historii. Trzeba liczyć się z pamięcią zbiorową. W historii istnienie Polski i Francji jest uwarunkowane wzajemnie, choć czasem te uwarunkowania nie są widoczne od pierwszego rzutu oka. W pamięci zbiorowej polskiej i francuskiej, polsko-francuskiej, trwają nie tylko winy wzajemne, zawody i rozczarowania, ale i przede wszystkim odczucie nieustającej wspólnoty. To już nie jest jedynie wspólnota dorywczego przymierza, ale jedność biologicznego losu, ta sama zależność od praw ziemi.

O niej trzeba w tej chwili mówić, bo nigdy w ciągu historii stosunków polsko-francuskich, nigdy od czasu bitwy pod Poitiers, od czasu najcięższych zagrożeń Polski ze wschodu właśnie francusko-polska wspólnota kultury, jedność bloku kulturalnego, nie była w tym stopniu zagrożona. W tej wojnie nie chodzi tylko o to, czy Gdańsk będzie należał do Polski, czy Alzacja i Lotaryngia, tak pełna wspomnień polskich, zostanie w granicach Francji, ale o to, czy się ostanie Francja sama, czy się ostanie tresć jej kultury, treść kultury europejskiej. To myślenie kategorią kulturalną jest dziś bardziej aktualne niż kiedykolwiek, jest bezinteresowne, humanistyczne i europejskie.

My Polacy czujemy bezwzględną solidarność z tą Francją, o której mówił i za którą padł w przeszłej wojnie Charles Péguy:

„Deux mille ans de labeur ont fait de cette terre
Un reservoir sans fin pour les âges nouveaux.
Mille ans de votre grâce ont fait de ces travaux
Un réposoir sans fin pour l'âme solitaire".

„Un homme de chez nous a fait ici jaillir,
Depuis le ras du sol jusqu'au pied de la croix,
Plus haut que tous les saints, plus haut que tous les rois,
La flêche irreprochable et qui ne peut faillir".

I z tą Francją, z dni klęski i kapitulacji, o której André Labarthe daje taką informację: „Kolumny dzienników wypełnione są artykułami o Molierze, o Corneille'u, o Rasynie. Robi się zestawienie tego, co przetrwało po pogromie. Ludzie zwracają się z pytaniami do mistrzów".

My Polacy myślimy o Francji z wiernością i miłością, jak o drugiej ojczyźnie. Myślimy, że Francja musi być uratowana dla Francji, dla Polski, dla całej Europy.

JERZY PACZKOWSKI

ÇA VA!

Ślimaki źrą. Ostrygi lubią.
W belotkę rżną całemi dniami.
Sos wylizują. W nosie dłubią
Niedomytemi paluchami.

Widzisz ich w każdej porze dnia,
Jak kolorowe żłopią płyny
I jak, katońskie strojąc miny,
Witają się: — Ça va? — Ça va!

A mówią — gdy ich słuchasz zboku —
O tem, co który pił i jadł
Wczoraj, przedwczoraj, w zeszłym roku,
I pięć lat temu, dziesięć lat!

I rozmarzają się w pół słowa,
Gdy Tino Rossi w radio łka.
I znowu toczy się rozmowa:
— Ravitaillement? — Ça va! Ça va!

Mówią o zwyżce cen, o sportach,
I wspominają dobre czasy...
I na tandemach jeżdżą w shortach —
Nie na wycieczkę! Po zapasy!!!

Boją się bomb, przeciągów, ścisku,
I jeden z drugim pietra ma,
By nie oberwać gdzie po pysku.
A dać mu w pysk... — Ça va... Ça va...

Aż nagle, niewiadomo skąd,
Wojenna gruchnie w nich nowina,
I proch się znajdzie w beczce wina,
I zacznie tlić się jakiś lont.

Przyłóż do ziemi czujne ucho,
Wsłuchaj się w głos, co idzie z dna —
Usłyszysz grzmot, jak rośnie głucho,
I mściwy szept: — Ça va! Ça va!

Aż z pod Tulonu buchnie gromem,
Zapachnie krwią i spalenizną —
I to, co było tylko domem,
Napowrót stanie się Ojczyzną!

Niełatwo zbyć się takiej schedy!
I warto czekać tego dnia,
Bo, zobaczycie! — tak jak wtedy,
Ça ira! Ça ira! Ça ira!!!

Przedruk z Nr. 167 londyńskich „Wiado mości Polskich" z dn. 23 maja 1943 r.

KAZIMIERZ GRZYBOWSKI

RZĄD PRAWA

I

Świat zna hasło demokracji od bardzo dawna i do dziś dnia nie wiele właściwie dodano do tej definicji, którą postawił Platon na wstępie do swojej „Politei". W czasach Platona jednak, tak jak my te czasy obecnie widzimy , kwestia formy ustroju państwowego była bardzo prosta i zaklasyfikowanie danego czy innego państwa do takiej czy innej grupy było rzeczą prostą. Dzisiaj istnieje dyskusja na ten temat, co to jest demokracja. Do zagadnienia tego można podchodzić, zdaje się, z dwu punktów widzenia. Badać instytucje, które zapewniają t. zw. demokratyczną formę rządów, i zupełnie mechanicznie określać następnie, z jakim tworem mamy do czynienia. Można też podejść do tej sprawy inaczej. Ująć demokrację jako system koncepcji politycznych i podstawowych myśli, leżących u podstawy organizacji i działania państwa. Demokracja zatem jako podstawa organizacji państwowej oznacza zespół idej, wpływających na cel, któremu państwo służy. Jedną z takich idej jest zasada rządu prawa.

II

Wiek XIX w myśleniu państwowo-społecznym dokonał zasadniczego przewrotu. Państwo — organizacja o charakterze mechanicznym, równoważąca przy pomocy siły rozmaite sprzeczne z sobą interesy, znalazła ideał, w imię którego wykonuje swoją władzę. W nowoczesnym państwie znajdujemy elementy z różnych czasów. Tworzyły je wieki średnie, dostarczył ich oświecony absolutyzm. Ideał jednak dzisiejszego państwa stworzyły dopiero ostatnie 150 lat. Jest nim rząd prawa. Nabrał on pełnego znaczenia zwłaszcza wówczas, gdy doszły do władzy, a przynajmniej uzyskały na nią wpływ, szerokie masy społeczne. Celem państwa jest więc w konsekwencji ochrona interesów tych mas. Wyrażały się one dla jednostki w prawach wolnościowych oraz w swobodzie gospodarczej. Dla grup społecznych oznaczały one odrodzenie praw narodów do niepodległego bytu. O te prawa wolnościowe dla jednostek i narodów toczy się walka na przestrzeni całego XIX i XX wieku aż do naszych dni.

Niezależnie od tych interesów i celów powstaje w nauce i w praktyce ideał państwa rządzonego przez prawo. Ma on zapewnić właściwe funkcjowanie tego organizmu, w jakim nasza epoka chce widzieć poszczególne narody. Ma zapewnić równowagę interesów poszczególnych jednostek czy grup społecznych. Program bowiem wolności jest w istocie programem anarchistycznym. Nieograniczona wolność oznaczałaby, zwłaszcza w zakresie życia gospodarczego, supremację niewielu ludzi nad resztą, doprowadzając w ten sposób do unicestwienia wolności. Stąd też państwa biorą się do realizowania programu społecznego, ustawodawstwa socjalnego, by złagodzić zbyt ostre przeciwieństwa gospodarcze. Z tego samego ducha rodzi się reforma agrarna, przeciwstawienie zbytniemu gromadzeniu kapitału. Stąd pochodzi tendencja do kontrolowania poszczególnych dziedzin życia gospodarczego a nawet organizowanie ich. Organizacje gospodarcze zawierają zarodek niebezpieczeństwa już nie dla poszczególnych jednostek czy grup społecznych, ale dla całego społeczeństwa, dla państwa. System bankowy, system kredytowy, towarzystwa akcyjne — wszystko to musi być nadzorowane, by nie dawało rezultatów ujemnych. Przerosty gospodarcze wywołują kryzysy, ofiarą tych kryzysów padają ci, którzy zupełnie nie ponosili winy w ich wywołaniu.

III

Rząd prawa musi zatem w zadaniach państwa nowoczesnego realizować dwa postulaty. Jeden — to ochrona uzasadnionych interesów społecznych. Drugi — to zachowanie równowagi pomiędzy poszczególnymi interesami społecznymi, wykonywaniem władzy państwowej a wolnością obywateli, oraz między siłami gospodarczymi, działającymi w obrębie danego ustroju. Dopiero teraz, jeżeli uzmysłowi się te podstawowe zadania państwa i systemu prawnego, można dojść do sformułowania, co to jest prawo, którego normy regulujące współżycie obywateli, funkcjonowanie organizmu państwowego ten charakter posiadają. Nie będzie bowiem normą prawną postanowienie, zmierzające do naruszenia interesów społecznych w ramach państwa czy też do zwichnięcia istniejącej między nimi równowagi.

IV

Państwa demokratyczne, które szczerze żyją w myśl tych zasad, zabezpieczają ich wykonywanie oddzielnymi gwarancjami, które w pewnym zakresie są niezależne od machiny państwowej. Jedną z nich jest niezawisły system wymiaru sprawiedliwości. Należy tu także zasada kontrolowania przez sądy zgodności ustaw z konstytucją. W niektórych społeczeństwach przekonanie o rządzie zasad, gwarantujących równowagę społeczną, jest tak głębokie, że nie wymagają one ujęcia w formę konstytucji. Straż sądów nad ich stosowaniem w życiu wyraża się w tej formie, jak to orzeczenie sędziego angielskiego, cytowane przez „Wiadomości Polskie" nr. 6 (152) z dnia 7.II. 1943. „Najważniejszym zadaniem sędziów tego sądu jest obrona praw poddanych J.K.Mości" — głosi ono.

V

Państwo w tym systemie nie jest celem prawa. Uprawnienia poszczególnych organów państwowych, siła państwa, potęga militarna, to wszystko służy celom, wytyczanym i wskazywanym przez prawo. Ale ta właśnie zasada, normalny, proporcjonalny stosunek między istnieniem organizacji państwowej a dobrem ludzkim w najszerszym tego słowa znaczeniu, zapewnia samemu państwu równowagę, stanowi o jego zdrowiu. Zapewnia mu istnienie i funkcjonowanie bez większych wstrząsów i stosunkowo łatwe realizowanie jego celów Państwo o dobrym systemie prawnym może się harmonijnie rozwijać. W już istniejących instytucjach znajdzie podstawę do stwarzanie nowych praw i organizacji, które łatwo sprostają nowym, przez życie narzucanym zadaniom; w atmosferze spokoju i równowagi załatwi swoje problemy społeczne. Dobra ustawa i właściwy do niej stosunek organów państwowych i obywateli zapewnia trwałość, siłę i celowość machiny państwowej.

VI

Tak samo jak od dawna istnieje koncepcja demokratycznego rządu, istnieje zasada autorytatywnego kierownictwa państwem. Cechą charakterystyczną tej tendencji jest oddzielanie celu państwu od dobra i pomyślności obywateli. Tendencja, zrozumiała w czasach pierwotnych, jest przebrzmiała i szkodliwa dzisiaj. W czasach dawnych sama organizacja państwowa oznaczała umożliwienie codziennego bytowania i gromadzenia postawowych dóbr społecznych, bez których ludzie istnieć nie mogli. Najwyższym prawem codziennego życia było wzmacnianie współpracy wszystkich ludzi, wchodzących w skład organizacji państwowej,

Dzisiaj interesy społeczne skomplikowały się. Cywilizacja, postęp kulturalny, przynoszą człowiekowi coraz większe opanowanie natury i, co za tym idzie, coraz większą wolność osobistą. Udział jednostki w budowaniu życia społecznego posiada dzisiaj znacznie większe znaczenie niż dawniej, a siła państwa polega nie tylko na dyscyplinie, ale przede wszystkim na samodzielnej pracy każdego człowieka.

Równowaga między władzą państwową a interesami grup i jednostek jest warunkiem, by powstał dobrobyt, wysoki dochód społeczny, była realizowana sprawiedliwość społeczna, by istniał niezależny i słusznymi zasadami się kierujący wymiar sprawiedliwości, które nie tylko ułatwiają państwu wypełnianie jego zadań, ale przywiązują wszystkie klasy ludnosci do państwa i tworzą siły, w krytycznych chwilach niesłychanie dla państwa cenne.

Zdarzają się chwile dla państwa tak krytyczne, że trzeba odstąpić od wykonywania normalnych funkcji państwowych, gdy ludność powołana do złożenia na rzecz państwa ofiary krwi i wolności osobistych, musi zrezygnować nie tylko z dostatków i dóbr materialnych, ale z dostatków moralnych. Muszą to jednak być chwile rzeczywiście wyjątkowe. Nawet jednak tego rodzaju sytuacja, jak to wskazuje nam przykład narodów wchodzących w skład Imperium Brytyjskiego, nie wyklucza kontroli narodu nad wykonywaniem ogromnej władzy, powierzonej rządowi.

Robienie z haseł rządu autorytatywnego programu na codzień jest złą polityką. Jest to hasło na dnie wyjątkowe, gdy sytuacja wymaga środków nadzwyczajnych, gdy nie czas na tworzenie dóbr, które zapewniają funkcjonowanie i siłę państwa na wieki, a trzeba ratować największe dobro narodu — niepodległy byt. Stosowane na codzień, zawiera niebezpieczeństwa, które obserwaliśmy i przeżywaliśmy ostatnio. Odstępowanie zbyt częste od zasad rządu prawa doprowadza do konsekwencji niekorzystnych dla samej machiny państwowej. Pewne formy naruszenia rządu prawa przedstawiają szczególne niebezpieczeństwo. Do takich należy zawieszenie niezawisłości sądów. Żadne okoliczności nie usprawiedliwiają takiego kroku, a pamiętamy dobrze, że u nas stało się to w momencie, w którym żadne przyczyny nie uzasadniały zarządzeń wyjątkowych.

VII

Wojnę dzisiejszą poprzedził kryzys państwa. Jest ona w dużej mierze wywołana tymi samymi przyczynami. Były one liczne. Pierwszą z nich, spowodowaną przede wszystkim przez państwa zwycięskie w pierwszej wojnie światowej, jest nieudolność w załatwieniu problemów międzynarodowych. Zarówno Konferencja w Wersalu, jak i późniejsza działalność instytucji międzynarodowych, nie stworzyły podstawy do trwałego pokoju, nie zabezpieczyły świata przed agresją. W konsekwencji brak poczucia bezpieczeństwa, oraz brak gospodarczej współpracy między państwami i wynikający stąd kryzys światowy. Dręczone niedostatkiem i niepewnością przyszłosci państwa szerokie masy w znacznej mierze straciły rozum polityczny i stworzyły atmosferę przychylną dla różnego rodzaju zamachów stanu.

Długotrwały stan wojenny w dużej mierze przyzwyczaił rządców państw do stosowania i przewlekania na okres pokoju metod rządzenia, które konieczne w czasie wojny, nie znajdowały uzasadnienia w normalnych warunkach. I tu stała się rzecz najdziwniejsza. O ile doświadczenia ze współpracy gospodarczej dla zorganizowania ogromnego wysiłku wojennego zostały w zupełności zignorowane, pod względem gospodarczym państwa starały się najniesłuszniej w swiecie powrócić do stosunków przedwojennych, o tyle w zakresie organizacji państwa, hasła demokratyczne tak drogie wszystkim społeczeństwom Europy, nagle zobojętniały.

Z pomocą nowoczesnemu władcy przyszedł rozwój techniki, który doprowadził do powstania wielkich centrów gospodarczych i ludnościowych. Opanowanie tych centrów automatycznie dawało władzę nad resztą kraju. A to opanowanie stało się tym łatwiejsze, że obecnie naród jest bezbronny wobec tego, kto dysponuje karabinami maszynowi, samochodami pancernymi, czołgami. Nowoczesny władca ma możliwości „trzymania za mordę" znacznie większe niż carowie rosyjscy.

Do walki o władzę ruszyli dyktatorzy Europy pod hasłami demokratycznymi. Hitler twierdzi, że jest demokratą, albowiem ma cały naród za sobą. Dzisiaj wysuwa twierdzenie, że stoi za nim cała Europa. Włoski faszyzm swój akt zasadniczy nazywa kartą pracy. W krytycznych momentach dyktatorzy urządzają komedię referendum ludowego, przy czym głównym argumentem jest pałka dla przeciwników i propaganda z wyłączeniem krytyki posunięć rządowych. Organizuje się demonstracje, i wrzaski motłochu, spędzonego pod Palazzo di Venezia, nazywa się wolą ludu.

Przypuszcza się dobrze planowany atak na te instytucje, które zapewniają rząd zasad prawa. Obniża się autorytet sądów, niszczy się ich wpływ na bieg życia publicznego. Prokuratorzy państwa nie wnoszą aktów oskażenia. Wymiar sprawiedliwości przenosi się w sferę organizowania napadów zbrojnych i bicia po nocy przeciwników.

Rządzenie siłą jest łatwe. Pałka starczy za paragraf. O ileż łatwiej o pałkę niż o paragraf. Kapralskie dusze i kapralska wiedza i pogląd na swiat nagle stają się kierującą filozofią, wyznaczającą cele państwu, metody ich osiągania. Stąd pogarda prawa, poszukiwanie innej nazwy dla usprawiedliwienia zbrodni i bezprawia. W dalszej konsekwencji rządząc siłą, obniżają nowoczesni władcy poziom życia politycznego i umysłowego kraju. Niszczy się tolerancję dla cudzych przekonań. Monopartia oznacza zlikwidowanie odwagi posiadania własnych przekonań. Do głosu dochodzi propaganda, która posługuje się płaskimi argumentami, siłą i budzeniem dzikich instynktów. Zanim zacznie działać, usuwa się tych, którzy mogliby zdemaskować kłamstwa. I to wszystko dzieje się bardzo często pod hasłem kontynuowania praw, zdobytych przez Rewolucję Francuską.

Skutki tego stanu rzeczy są potworne. Usunięcie zasad rządu prawa pozostawia mechanizm bez kontroli, który pod pozorem realizacji wyższych celów organizuje tyranię. Tyrania raz powstała nie może utrzymać się inaczej jak przez kontynuację ucisku i stawiania szerokim masom wyższych celów, którym mają służyć ich ofiary. Tym wyższym celem jest wojna, rząd prawa bowiem wewnątrz państwa przyczynia się w dużej mierze i do utrzymywania zdrowych stosunków między państwami. Prezydent Wilson jeszcze w czasie tamtej wojny światowej twierdził, że państwa, uznające demokratyczny system rządzenia, nie mogą dzięki jawności załatwiania spraw państwowych stać się przyczyną wojen. Związek między dzisiejszą wojną swiatową a stosunkami wewnętrznymi w państwach totalnych jest zbyt widoczny, by wymagał uzasadnienia. Nawet w łonie samych klik rządzących widać ujemne skutki systemu. Wykańczanie ludzi, którzy z jakichś powodów przestali się podobać reżimowi, mimo tego, że przedtem byli jego podporą, jest zjawiskiem codziennym. Przypomnijmy sobie choćby czystki w partii hitlerowskiej, wielkie procesy polityczne w różnych totalizmach i sensacyjne samobójstwa osobstości politycznych. Powstaje kult niekompetencji.

VIII

Wojna dzisiejsza jest krwawą kąpielą. Jest zapłatą za grzechy, których narody swiata przeważnie nie zawiniły. Jest wynikiem lekkomyślnej zgody narodów na powierzenie wbrew prawu nieograniczonej władzy szaleńcom i zbrodniarzom. Jest karą za zniesienie wolności słowa, krytyki, publicznej dyskusji, za brak odwagi w walce o prawa ludu, o instytucje demokratyczne. Jest karą za zdradę ideałów demokratycznych ze strony tych, którzy bezwolnie poszli za hasłami sprzecznymi z demokracją, licząc na to, że dobrobyt społeczny i ich osobiste szczęście, lepszy rozdział dóbr można uzyskać na innej drodze, jak współpracy wszystkich grup narodu i wszystkich narodów. O powrót do umiaru, do harmonii, do równowagi sił społecznych toczy się obecna wojna, jeżeli idzie o nasz obóz. Tyle razy mówiono o tym, że idealy kultury zachodniej są gwarancją wielkości naszego narodu, że tylko pod tym hasłem możemy organizować życie na tym skrawku ziemi, na którym powiewa Polski Sztandar, że dzisiaj wydaje się to już truizmem. Ale rząd zasad prawa jako nieodzowna część tej kultury, składnik struktury politycznej Zachodniej Europy, do której chcielibysmy należeć, jeszcze niezupełnie znalazł sobie miejsce w umysłach polskich polityków, ekonomistów, a — co najboleśniejsze — i prawników. Któż będzie walczył o realizację rządu prawa w naszym kraju, jeżeli, mówiąc o zagadnieniach społecznych, prawnik nie znajduje miejsca i nie widzi roli prawa. Naród i jego byt polityczny mogą opierać się tylko o czynniki długotrwałe, związane z tradycją życia społecznego. Naród wielki musi mieć wzniosłe zasady tego życia społecznego. Tylko szlachetny, mający na celu realizację wielkich ideałów, system prawny może misję historyczną Polakom ułatwić.

W NIEMCZECH O POLSCE

W Krakowie nakładem Burgverlagu ukazała się w drugim wydaniu książka **Manfreda Lauberta** „Die preussische Polenpolitik von 1772—1914" („Pruska polityka wobec Polaków, 1772—1914").

Laubert, dziś profesor historii w nowozałożonym niemieckim uniwersytecie w okupowanym Poznaniu, jest jednym z najstarszych działaczy i historyków hakatystycznych, znanym jeszcze z przed pierwszej wojny światowej. Jest on uważany w Niemczech za duży autorytet, jeśli idzie o historię stosunków polsko-niemieckich, a w szczególności o stosunki w Poznańskim.

W r. 1920 wydał on w Berlinie książkę p. t. „Die preussische Polenpolitik von 1772—1914", obrazującą historię germanizacyjnej polityki niemieckiej przede wszystkim w Poznańskim, a w mniejszej już mierze na Śląsku i na Pomorzu. Książka przepojona była jaskrawym duchem antypolskim. Laubert gorąco przyklaskiwał w niej wszelkim germanizacyjnym poczynaniom niemieckim, dla tych zaś — nielicznych — polityków niemieckich, takich jak Flotwell czy premier Caprivi, którzy próbowali polityki porozumienia z Polakami, miał tylko słowa potępienia.

Obecnie książka jego ukazała się w drugim wydaniu. Wyszła ona jako pierwszy tom serii, której patronuje „Institut für deutsche Ostarbeit". We wstępie Laubert pisze, że nowe to wydanie ma być rodzajem drogowskazu dla nowej pracy niemieckiej na ziemiach polskich.

Bardzo znamienne są pewne zmiany w ujęciu, jakie Laubert powprowadzał do tego drugiego wydania. W pierwszym wielokrotnie podnosił żywotność Polaków i chwalił polski zmysł organizacyjny. Wszystkie te akcenty zniknęły w drugim wydaniu. Przerobiono gruntownie ustęp o Śląsku: zniknęły z niego uwagi o polskich tradycjach Śląska.

Szczególnie wymowny jest w książce ten ustęp, w którym Laubert mówi o upośledzeniu społecznym narodów podbitych jako o warunku skutecznej germanizacji.

*

Nakładem wydawnictwa Hirzla w Lipsku ukazał się pod redakcją Aubina, Brunnera, Kothego i Papritza pierwszy tom wielkiego zbiorowego dzieła niemieckiego **„Deutsche Ostforschung Ergebnisse und Aufgaben seit dem ersten Weltkrieg"** („Niemieckie badania Wschodu. Rezultaty i zadania od czasów pierwszej wojny światowej"). Książka przynosi zbiór rozpraw 23 autorów, poświęconych średniowieczu. Zapowiedziano tom drugi „Deutsche Ostforschung".

W pierwszym tomie omówiono takie zagadnienia, jak t. zw. kulturę łużycką, historię osadnictwa, wpływy prawno-polityczne cesarstwa niemieckiego, Hanzę, wpływy religijne, literackie.

W osobnej rozprawie, pióra gdańskiego profesora **E. Keysera,** omówiono organizację niemieckich badań naukowych, poświęconych „niemieckiemu Wschodowi". Rozprawa ta jest szczególnie pouczająca. Okazuje się z niej, że praca wszystkich towarzystw naukowych, poświęcających się badaniom nad „niemieckim Wschodem", była podporządkowana instytucji o charakterze politycznym „Niemieckiemu Związkowi Ochrony Kresowej i Zagranicznej Niemczyzny" („Deutscher Schutzbund fur das Grenz- und Auslandsdeutschtum"), a więc tej organizacji, która zajmowała się plebiscytami na Mazurach i na Śląsku, a po przewrocie hitlerowskim połączyła się ze sztuttgarcką centralą niemczyzny zagranicznej. Instytucji tej podlegały założone po pierwszej wojnie światowej specjalne komisje historyczne: komisję taką dla Śląska stworzono we Wrocławiu w r. 1921, dla Pomorza i Prus Wschodnich — w Królewcu w r. 1923, a dla Brandenburgii — w Berlinie w r. 1925. W Lipsku działała komisja porozumiewawcza wszystkich tych organizacji w sprawie publikacji historycznych. we Frankfurcie nad Menem czynny był niemiecki związek towarzystw historycznych. W Lipsku wreszcie działało przez pewien czas specjalne towarzystwo którego celem było badanie ludnościowych i kulturalnych wpływów niemieckich poza granicami N emiec, „Stiftung fuer deutsche Volks. und Kulturbodenforschung".

Przegląd wszystkich tych instytucji zamyka Keyser następującym stwierdzeniem:

„Zjazdy i posiedzenia tych różnych związków i towarzystw przyczyniły się decydująco do tego, że „niemiecki Wschód" od Łaby po zatokę Fińską i od rzeki Inn po morze Czarne został uznany za zwartą przestrzeń życiową narodu niemieckiego".

Nic więc dziwnego, że i wszystkie zamieszczone w tomie rozprawy pojęte są poprostu jako narzędzie imperializmu niemieckiego. Typowa jest tutaj np. rozprawa jenajskiego profesora **Ericha Maschkego,** poświęcona niemieckiemu średniowiecznemu osadnictwu w Polsce. Teza Maschkego jest bardzo prosta: każdy ślad niemieckiego osadnictwa na ziemiach polskich w średniowieczu jest dla niego dowodem, mającym uzasadniać niemieckie prawa do Polski obecnie. W ujęciu osadnictwa niemieckiego w Polsce Maschke nawiązuje do starych tez Kaindla, które u nas energicznie zwalczał Balzer. Podobnie jak i Kaindl, tak i Maschke jest bezsilny wobec tych faktów, które znaczenie polityczne jego tez sprowadzają do zera: wobec faktu zaniku niemieckiej kolonizacji na ziemiach polskich w XV w. i bardzo szybkiego spolonizowania się osadników.

Trzeba stwierdzić, iż Maschke jest na tyle uczciwy, aby przyznać, że spolonizowanie to nastąpiło jako proces spontaniczny, bez użycia siły. Sformułowanie, w jakie stwierdzenie to ujął, jest bardzo zabawne przez wyraźnie przebijające z niego zakłopotanie. Oto jak ono brzmi:

„Bezpośrednie, uprawiane przy użyciu przemocy odniemczanie ludzi wydaje się niemożliwym do udowodnienia".

KSAWERY PRUSZYŃSKI

ODWET ZA WARSZAWĘ, ZA SIEDLCE, KUTNO I WRZESIEŃ*)

Odprawa pilotów.

Pułkownik podszedł do niewielkiej budy na kołach, przyciągniętej tu bodaj ciągnikiem, i z kartki czy z pamięci wypisuje sobie kolejną kredą na jednej ze ścian jak na tablicy słowa, litery i cyfry.

Gdzieś na prawej stronie, zaczyna burzeć ciężki burkot Wellingtonu. Coraz silniej, donośniej. Nie widać go, a raczej trudno to rozeznać. To tam na skraju lotniska w cieniu owego lasu, o którego skraj zawadza to całe pole aerodromu. Jeszcze przed półgodziną widać je było wyraźnie, rozstawione w odpowiedniej od siebie odległości, gotowe od południa. Teraz już ich nie widać wcale. Noc majowa zapada późno, ale zapada szybko. Tu na ziemi już wszystko zlało się w jeden zmrok. Tylko motory, jeden po drugim, rozdźwięczały się niespodzianie, jak wielkie, dalekie bąki. Tylko z budy obok mnie dolata, poprzez ten huk motorów na skraju lotniska, chrobot rozmów, prowadzonych przez radio. Lampa przed nami późnie blaskiem ostrym, który w miarę zapadania zmroku staje się coraz jaskrawszy. Po polu równym, porosłym trawą niską i gęstą, idzie huk motorów coraz głośniejszy.

„Możecie startować, możecie startować, możecie startować", woła stacja nadawcza lotniczą do jednej z maszyn. „Możecie startować..."

Chwila, i z mroku wyłania się wielki, toczący się ciężko, zarys brytyjskiego bombowca. Zawraca, zwalniając tempa, i nastawia się w kierunku startu. Ma przed sobą całą przestrzeń lotniska, całą jego długość, z wyjętymi dachami hangarów po prawej tam stronie, z bladnącym niebem zachodu na horyzoncie dalekim. I naraz huk robi się tak silny, że zagłusza zupełnie to, co mówi dalej nie milknące od wskazań radio. Długa maszyna, o nabrzmiałym jak cygaro kadłubie, poczyna się toczyć ku nam, ku owej lampie jaskrawej na polu lotniska. Czarna cała, wygląda jak jakiś wielki, niezgrabny owad który nie ma siły podnieść się; zniżyć się cały w pędzie i z ciężkim wysiłkiem wali przed siebie naprzód. Mija nas w huku i pędzie, który staje się coraz szybszym. Znowu zaczyna zacierać się na tle pola, które ogarnia już mrok. Jest to już przecie po dziesiątej wieczór. I naraz, huk motoru zmienia ton, a zarys maszyny ukazuje się jakby nieco wyżej. Jeszcze chwila i jest już konturem olbrzymiej ważki, która rozpiąwszy skrzydła leci na tle błednego, wieczornego nieba, i znika gdzies daleko.

Radio już jakby o niej zapomniało, daje dalsze znaki. Kolejno, jedna po drugiej, maszyny wytaczają się z odległości i mroku, mrucząc motorami przy zawracaniu, i ruszają wreszcie z miejsc, tak samo jak tamta ugięte, tak samo nabierające na szybkości. Jedna po drugiej kilkanaście maszyn staje się ważkami oderwanymi od ziemi, znikającymi na tle coraz ciemniejszego nieba. Ale w tej właśnie chwili, widzę. Wielka maszyna nadlatuje nad nas, zawraca. Świeci światłami, jest nad nami. Z radia leczą jeszcze ostatnie zapytania i ostatnie wskazania wypowiadane umownym, dziwnym narzeczem bombowców.

— Bierze kurs, — powiada pułkownik.

Jest to jeden z najstarszych polskich lotników, najbardziej doświadczonych, najzasłużeńszych. On sam jako pilot prowadzi maszyny w niejednym rejdzie, on pierwszy latał nad Berlin z dywizjonem polskich pombowców, powstałych w Wielkiej Brytanii, jednym z dwóch, które mają postój na tym własnie lotnisku. Patrzy uważnie na maszynę, która właśnie odlatuje równym szlakiem wymierzonym na południowy wschód. Kiedy ta pierwsza znika w niebie, które tam nad morzem jest jeszcze wciąż jasnawe, druga już także zawróciła ku nam i nad nami leci wciąż za tamtą. Jej światła sygnalizacyjne gasną. Maszyny jedna po drugiej defilują tak w mroku wstającej nocy najpierw przed nami — na ziemi lotniska, a potem nad nami na wielkim szlaku nieba. Równym, prostym ściegiem. Jedna po drugiej, jedna po drugiej.

Pułkownik patrzy za nimi na niebo swoim spokojnym, zatroskanym wzrokiem:

— Jasna noc — powiada — i krótka. Wyjdą z Anglii na morze jeszcze przy świetle dziennym. Mogą być niemieckie myśliwcy...

*) Rozdział z przygotowanej do druku książki p. t. „Waliczymy".

Idziemy z powrotem ku hangarom i budynkom polem wielkim, na którym powyżłabiały się niekiedy szeroką kolejką grube koła podwozi bombowców. Z nieba dolatuje jeszcze przytłumione burczenie, które teraz zrobiło się dalekie jak brzęk pszczół wysoko, i które jest jak ślad pian na morzu, jaki pozostaje po przejściu okrętu. Niebo — morze — żaraz się wygładzi i uciszy. Ślad się tylko za nim wyrysował tym przejściem maszyn ostry, jak linia prosta. Istotnie jest to linia prosta. Widziałem ją już tego samego dnia, nakreśloną nie na niebie tylko, ale na mapie. Była wtedy czerwoną nitką, przeciągniętą pomiędzy jednym punktem na mapie Anglii i jednym na mapie Niemiec. Z lotniska brytyjskiego poprzez morze i Holandię biegła prosto ku wielkiemu przemysłowemu miastu Nadrenii, Z.....

Hangary, które przez całe popołudnie rozbrzmiewały ostatkiem przygotowań, są teraz niemal puste i zupełnie ciemne. Gdzieniegdzie kilku mechaników zapóźniło się jeszcze, wartownicy czuwają. Spokój. Lotnisko wypróżniło się z tego, co było jego życiem istotnym. Pokój obok, w którym na ścianach wiszą mapy, plakaty i objaśnienia, w którym wielki stół w środku zawalony jest materiałem lotniczym wszelkiego rodzaju, jest teraz także pusty. Pamiętam go dzisiaj popołudniu, w świetle dnia. Była odprawa lotnicza przed lotem. Piloci pozginani nad tym właśnie stołem, rozkładający mapy i przyrządy, zagłębieni byli w obliczeniach najróżnorodniejszych. Wyglądali nieomal tak, jak pracownicy technicznі, studenci architektury, czy elektrotechniki, przy pracy nad jakimis nowymi zadaniami w swej pracowni czy laboratorium. Tymczaszem po zieleni lotniska ciągniki wiozły pociąg, złożony z niskich podwoziowych wagoników, jak płaskie lory, na których leżały długie, ćwiatłe kształty: pomby...

To były przygotowania.

W gmachu, który jest jednym z domów mieszkalnych załogi lotniczej tych dwu dywizjonów polskich, panuje po naszym powrocie spokój wiejski tego domu w pogodną noc letnią. Istotnie noc jest pogodna. Gdyby nie było blackoutu, możnaby otworzyć okna i wtedy oknem szedłby zapach rozwijających się sadów okolicznych, które własnie okwitły białym kwieciem. Jest już niemal pełnia i wielki księżyc wytoczył się na niebo, bezchmurne prawie, ku wieczornemu utrapieniu pułkownika-squadron leadera. Jeszcze w obecnej chwili w seatting roomie, wielkiej długiej sali, mówi do mnie i do kilku pozostałych oficerów:

— W bramie wylotowej nie napotkali nikogo. Messerschmidtów już nie było.

— Musiało być późno — ktoś dodaje.

— Zresztą, ó powiada ktoś trzeci, — tam teraz patrolują nasi myśliwcy...

— A. X..... musiał zrzucić bomby do morza i zawrócić.

Była to jedyna przygoda wylotu, w jednym z samolotów nie działały karabiny i nie obracała się wieńczyczka. Otrzymali więc polecenie lecenia na morze i wyrzucenia bomb tam — z bombami niebezpieczne jest lądować — i wrócić na lotnisko.

— Napije się pan czego? — pyta pułkownik.

I podczas gdy pijemy w milczeniu jakims, w którym jednak mimo wszystko myśli się o tamtych, przypominam sobie wszystko co się mówiło o owej bramie wylotowej. Najważniejszym jest wiot i wylo. Chodzi o to, żeby w tych właśnie chwilach dobrze skontrolować swój kierunek lotu, nie wypaść z kolejki, w której bombowiec po bombowcu z przeróżnych lotnisk brytyjskich leci jeden po drugim. Niemcy znają już owe bramy. Znają położenie zapór balonowych, które w innych miejscach bronią dostępu do nieba nad Wielką Brytanią, jak broni go na morzu zasiek min. Totež póki nie jest jeszcze ciemno, prawie do zmroku samego, zdarza się, że wysoko nad chmurami czekają Messerschmidty. Tym razem już ich nie było.

Morze jest jedynym spokojnym etapem drogi bombowców. W miejscu, gdzie zaczyna się brzeg, zaczyna się ciężki etap pracy. Po chmurach ślizgają się światła reflektorów olbrzymiej siły i dalekiego zasięgu. Niemcy nie darmo od pierwszych dni Wersalu, wysilały się we wszystkich wynalazkach wojennych. Hitler zbiera teraz wysiłki tylu innych niemieckich rządów. W ślad za światłem reflektorów idzie ogień artylerii przeciwlotniczej tak potężnej, jakiej nie ma dotąd Wielka Brytania. Nic dziwnego, ona nie gotowała się do podboju Europy. Nic dziwnego, przecież dla Niemiec pracuje nie tylko Krupp i Thyssen i olbrzymie Herman Goering Werke, nie tylko zbrojownie austriackie, ale Skoda czeska, i francuski Schneider i Creusot, i cały podbity przemysł europejski. Droga do serca Niemiec jest dobrze zagrodzona. Podczas gdy Wellingtony lecą ku Nadrenii i Hamburgowi, Kiel i Berlinowi, po drodze występuje baraż po barażu. Lotnicy polscy, którzy latają od września 1939 r. na bombowcach brytyjskich na Niemcy znają to wszystko dobrze. Pamiętają miasta, z ponad których za ich przelotem podnoszą się ku nim nie tylko światła reflektorów olbrzymich, ale jeszcze kolorowe kule, światła, smugi, baraż artyleryjski. Pamiętają ciemne masywy gór i lasów najeżonych bateriami armat. Znają już główne przeszkody. Ci, którzy latają tak nad Anglią i Niemcami od przeszło osmiu miesięcy, powiedzą nawet jak z każdym tygodniem ląd niemiecki silniej się tam najeża.

— Czasem lecimy cały czas nad jednym morzem ognia, — powiadano mi dziś popołudniu, — reflektory jak nas raz złapią, odprowadzają nas ku innym, baterie armat po kolei biorą nas w swoje ręce. Czy Pan widział tamtą maszynę w hangarze Y?

Widziałem tamtą maszynę w hangarze Y. Wróciła z nad Brest, gdzie pod szczególną strażą artylerii przeciwlotniczej stoi para morskich jednostek: „Scharnhorst" i „Gneisenau". Stoi już pięć tygodni do naprawy w dokach i jakos nie wyrusza...

Mimo zapór, bombowce przedostają się. Gruba pokrywa stalowa pokładów nie dozwala jeszcze na zbombardowanie śmiertelne, ale uszkodzenia poważne były już parokrotnie. Stwierdził to wywiad brytyjski. Okrętom niemieckim jest wygodnie w porcie francuskim, ale przed uskutecznieniem napraw odjechać nie mogą. I stoją coraz dłużej, bo bombowce są nad nimi coraz częściej...

Bombowce polskie były nad nimi już osiem razy. Nie, nie pamiętam już dokładnie, czy tamta maszyna w hangarze Y. wróciła z nad Brestu, Bremy czy Hamburga. Może to jedna z tych, co przedarła się do środka Berlina? Ale ją samą pamiętam doskonale. Kiedy byliśmy przy niej z pułkownikiem, właśnie całe jej części składowe czyszczono i rozbierano. Wielkie półokrągłe blachy, błyszczące smarami, leżały wokoło niej, jak odrzucone części pancerza. Wokoło prawego motoru w grubej blaszce była wielka na dłoń rana, jakby wyszarpanego stalowego mięsa, odprysk armatni. Tuż przy przewodach benzynowych— o kilka cali od nich — były inne ślady pocisków. Po całym kadłubie od dołu były mniejsze, większe i bardzo wielkie szramy, blizny i powgniatania. Wellington wyglądał jak pies wojowniczy, który wraca po nocnej wyprawie, podczas której onadżv go inne psy, jest pokrwawiony, pokąsany, zmęczony. Ale zwycięski.

Najgorzej wyglądał ster tej maszyny.

Jego część unosząca się do góry ostrym trójkątem tak dobrze jak nie istniała. Była zupełnie odarta ze swej skóry, to jest z całej części wierzchniej. Olbrzymi płat tej skóry, chyba półtora metra kwadratowego, wogóle nie istniał. Pozostał jedynie sam szkielet stalowy steru. Wyglądał jak objedzony przez myszy lub mrówki. W tym miejscu szkielet składa się z wielu połączonych ze sobą stalowych kości. Nie jedna z nich była także złamana i opierała się bezwładnie na innych. Sterowanie tym zniszczonym sterem wymagało ogromnych wysiłków. Potrzaskana i podziurawiona maszyna wróciła do swojej bazy.

— Kiedyś jedna z maszyn naszych miała 58 ran — powiada pułkownik.

Wiedziałem, że on sam wrócił niedawno z nad Berlina o jednym motorze. Były obawy o przymusowe lądowanie, o to, czy benzyna nie wycieknie, o to czy samolot nad morzem nie wytrzyma. Jednak zdołali wrócić.

— Czy często zdarza się, że nie wracają? — zadaję przykre pytanie.

— Musi lę zdarzać — odpowiada krótko polski oficer.— Bombowce polskie na tej stacji są pierwszymi, jakie z polskich dywizjonów bombowych powstały w Wielkiej Brytanii. Jesli 303 wstawił polskie myśliwstwo lotnicze i brał wspaniały udział w bitwie nad Anglią, to dwa inne dywizjony bombowców polskich dopomogły do ustalenia i tego faktu, że polski personel bombowcowy nie jest zgoła od myśliwskiego gorszy. Od 15 września brały udział w nocnych nalotach, którymi RAF odpłacił Niemcom za ich napady na Londyn. Każdy z tych dywizjonów w ciągu 230 dni ich istnienia posiada po 170 mniej więcej lotów na Niemcy. Jest to cyfra tym poważniejsza, jeśli się weźmie pod uwagę, że przeszło przez dwa miesiące w tym okresie — jakies dobre 80 dni — samoloty z pewnych przyczyn, o których tu mówić nie sposób, w ogóle nie latały, Polskim dywizjonom tej stacji, a potem tym dalszym dywizjonom polskim, które powstawały w innych okolicach tej części Wielkiej Brytanii zależało na tym, aby pokazać dowództwu RAF-u ich gotowość bojową. To też lotnicy polscy nieraz mają loty noc po nocy, noc po nocy.

Ale też dwa dni temu przybył tu generał angielski, dowódca grupy, i składał naszym dywizjonom gratulacje. Powiedział nam m. in., że polskie dywizjony miały rekord ilości lotów na Niemcy w miesiącu kwietniu.

Miesiąc kwiecień 1941 roku jest wielkim miesiącem brytyjskiego lotnictwa bombowego, tak jak wielkim miesiącem lotnictwa myśliwskiego brytyjskiego był miesiąc wrzesień 1940 roku. Wtedy myśliwce brytyjskie ochroniły niebo nad Anglią, teraz bombowce brytyjskie przechodzą do kontrataku nad miastami i centrami Niemiec. Wtedy i teraz lotnictwo polskie brało w pierwszych szeregach RAF-u. Latają nieraz noc po nocy, latają po jednonocnej przerwie. Latają w sposób niezmordowany. To nie dlatego, aby byli posyłani najpierwsi i oszczędzani najmniej, to dlatego, że to polskie lotnictwo tak chce. Tak samo, jak polska marynarka patroluje najniezmordowaniej, najintensywniej. Tak samo, jak nie by tak nie uradowało polskiego żołnierza w Szkocji, jak wiadomość o wyruszeniu na front. Polacy mają zbyt wiele powodów, aby marzyć o jak najrychlejszym zmierzeniu się z Niemcami O co przyczyny.

— Już dochodzi do celu — powiada ktoś

— Jest, jest, kręci się od pół godziny chyba.

Rzeczywiście, dochodzi z wysoka i z daleka brzęczenie delikatne, jakby komara. To niemiecki myśliwiec nocny. Wypatruje gdzieś w tej stronie lotniska, czeka na moment powrotu tamtych, żeby zaatakować maszynę w chwili przed lądowaniem, kiedy zdradzają ją światła sygnałów.

Opowiadają mi:

— Kiedyś, w jednej z tutejszych okolic krecił się Niemiec, tak jak teraz. Szukał lotniska. Dowódca lotniska musiał dawać niebawem sygnały świetlne. Co robić? Miał obok pozorne lotnisko, ze światłami pozornymi, ze wszystkim. Wiedział, że lotnik niemiecki lata od jednego lotniska — tego pozornego, do drugiego — tego prawdziwego, i najwidoczniej nie może się zdecydować. Wie, że jedno jest prawdziwe, a drugie fałszywe. Ale które z dwóch? Dowódca lotniska wziął na ryzyko. Zapalił na prawdziwym lotnisku — tym autentycznym — wszystkie normalne światła. Najbezczelniej w świecie. No i lotnik niemiecki obrzucił bombami lotnisko nieoświetlone, to fałszywe, udało się...

Niemiecki lotnik, ten obecny, nie z opowiadania, krąży, krąży, krąży. Nad uspionymi polami i lasami jest doprawdy jak zły duch ze starych bajek przeszłości. Dla tych ludzi jest jak zjawisko codzienne, czy raczej conocne.

— Czy dzisiejsza operacja jest bardzo niebezpieczna? — pytam jeszcze w chwili milczenia.

— Wszystkie operacje są trudne — pada odpowiedź z mroku. — Ta nie jest szczególnie ryzykowna. Wokoło miasta Z..... w Nadrenii, którego wielkie zakłady przemysłu chemicznego mamy zbombardować — czy raczej bombardujemy w chwili obecnej — nie ma w pobliżu lotnisk. To znaczy, że myśliwce tak bardzo nie grożą. Pozostaje więc tylko artyleria.

— Tylko... — ktoś mówi z przekąsem.

— Zawsze to jedno.

— Psie krwie, mają silną artylerię. Kiedy lecieliśmy niedawno nad Kielem, to była jakby łąka kwiecista, jak dywan rozpostarty. Naraz pod nami rosną światła czerwone, potem zielone, potem pomarańczowe. Cała gama barw. A na tle tego wielkie plamy płonącego miasta.

— Czy dobrze się widzi? — pytam.

To zależy. Jak latałem na Berlin, byliśmy jedni z pierwszych, więc pożary dopiero zaczynały się. Ale gdy się jest którymś tam w kolejce, to poprostu naprawdę morze ognia. Widać wszystko. Nieslychane wrażenie. A przede wszystkim rozróżnia się wszystko. Widziałem doskonale, jak na dłoni, berlińską ulicę Unter den Linden, widziałem masyw parlamentu, gmachy goeringowskiego ministerstwa lotnictwa, Reichskanzlei, przestrzeń ogrodów za Brandenburger Tor. Widziałem Tempelhoff, i fabryki, i wszystko. Znam Berlin.

Wiem, że ten, co mówi, był pilotem na polskich liniach lotniczych, które obsługiwały i szlak Warszawa-Berlin. Ten wie.

— A bomby się widzi, gdy padają? — pytam jeszcze, może naiwnie.

— Zwykle dochodzi odgłos detonacji i sam widok. Tak jakby po chwili od wyrzucenia wszystko na ziemi rozstępowało się powolnym ruchem. Ściany domów, kominy fabryczne, mury zakładów przemysłowych i wielkich gmachów. Widać zazwyczaj doskonale. W kilka, kilkanaście sekund później leży się na spodzie oszklonym Wellingtona i widzi się.

— A ile bomb zabieracie?

— To zależy od odległości. Niestety, Wellingtony na obecne stósunki to już przestarzała maszyna. Na tej wojnie to zawsze tak jest. Leci powoli, jest więc przez kilka godzin pod obstrzałem artylerii niemieckiej, nim dojdzie do celu. W razie dalekich odległości musi wziąć zapasowe zbiorniki paliwa, a więc mniej miejsca na bomby. Czekamy na nowe maszyny brytyjskie. Kiedy przyjdą już, wówczas jeden bombowiec będzie mógł zabierać tyle bomb na Berlin, co dzisiaj na cały flight.

— A ile bomb wyrzuciły na Niemcy polskie dywizjony?

— Nie wiem, ile tamte, co stoją w okolicy. Prawdopodobnie po paręset tysięcy funtów, bo to jeszcze stosunkowo młode dywizjony. Niezbyt dawno przystąpiły do pracy. Nasze dwa dywizjony, które pracują tu od jesieni 1940 r., dojdą w najbliższych dniach do miliona funtów...

— Miliona funtów?

Stary lotnik polski ożywia się.

— A tak, milion funtów. I to już za kilka dni, dobrze przed końcem maja 1941, bo teraz latamy intensywnie. Noc w noc po kilka maszyn w każdym z tych dwóch dywizjonów. Milion funtów, to zawsze cos. To znaczy, że w tej chwili każdy z naszych dywizjonów przekroczył już znacznie tę ilość bomb, jaką wyrzuciły wszystkie nasze dywizjony w Polsce na Niemców we wrześniu 1939 r. Niebawem przekroczymy i te ilości bomb, jakie Niemcy rzucili na Polskę w tej nieszczęsnej kampanii wrzesniowej, kiedy miały taką przewagę maszynową. Wyrównamy nasz rachunek i zaczniemy wypłacić procenty...

Znam tego człowieka. Jest to człowiek łagodny, miły, głęboko dobry. Ma w swoim głosie dobrą łagodność, spokój, który działa na innych. Ale ten człowiek w czasie ofensywy niemieckiej na Polskę widział doprawdy za wiele. Nigdzie wojna lotnicza nie przybrała tej potworności, co w bezbronnej Polsce. I każdy lotnik polski ma to przed oczyma. To trudno. Gdyby tego zresztą przed oczyma nie mieli, nie dawaliby teraz tak za siebie wszystkiego co najlepsze, jak to czynią.

Nad nami jest głęboka, ciemna, księżycem wysrebrzona noc.

Bombowce polskie poszybowały nad Ren niemiecki.

Nad Wisłą, nad Bałtykiem i Wartą śpi w niewoli polski lud.

... ...

Jest zupełnie ciemno, kiedy mnie budzą, kiedy ubieram się śpiesznie i gdy wychodzę na dwór. Na dworze jest przemiłe poranne zimno. Jest jeszcze zupełnie ciemno. W powietrzu, kiedy idę ku lotnisku, brzęczy wysoko bardzo ten sam brzękot komara, to znowu inny samolot niemiecki, posłany na przyszpiegi, gdzie ładują wszystkie brytyjskie bombowce.

Czerwona lampa i sygnały do lądowania rozswietlały się znowu w mroku. Rząd lamp zabłysł, wskazując drogę.

Cisza.

Wysoko bardzo — a może daleko — brzęczy natrętny Niemiec.

Tylko radio w środku owej drewnianej budy rozgadało się znów szeregiem umówionych sygnałów.

— Wracają wszyscy — powiada mi jeden z techników radiowych.

To dobrze, bo to nie zawsze tak bywa. Wczoraj np. nie wrócila jedna z maszyn. W tamtym tygodniu nie wrócicy dwie inne. Procent strat nie jest zbyt wysoki. Personel lotniczy polski jest bowiem starym, dobrze wykwalifikowanym personelem. Ale wojna, to wojna. I szereg polskich mogił wyrósł na polskim cmentarzu.

— Leci pierwsza.

Istotnie, poza hukiem zjawia się nad nami czarny kontur bombowca. Zatacza w powietrzu koło. Dobrze, że Niemiec, który wciąż krążył, teraz gdzieś zniknął. Zbliża się, zniża. Światła rozpaliły się na lotnisku podwójną smugą reflektorów. Przy huku motorów, w ogromnym pędzie, smuga świateł sunie po ziemi.

— Już.

Jakby nie było chwila, kiedy bombowiec dotknie już ziemi i poczne toczyć się po niej gładko, jest odetchnieniem ulgi. Bombowiec toczy się, minął nas dawno i znikł. Jego huk ustaje daleko. Ginie zupełnie, jak on zginął w mroku.

— Następny.

To już drugi powraca kolejno. Nie zawsze ląduja tak równo. Rozmaicie bywa. Jest zimno, i po kilku lądowaniach wracam do hangarów i mieszkania. Jest jeszcze ciemno, ale grono mechaników opatruje pierwsze maszyny, jakie przybyły.

Mechanicy, jak cały personel lotnisk polskich, są oczywiście Polakami. Opatrują jeszcze po ciemku maszyny, jak troskliwy dziekej zajmuje się koniem po przebiegu po torze.

Opóźniam się przy nich, i kiedy wracam do domu mieszkalnego pilotów, zastaję już przy śniadaniu kilku z nich. Jest zaledwie godzina piąta. Widziałem tych ludzi przed lotem. Widzę ich twarze po locie. Mają twarze ziemiste, zmięte, zmęczone, postarzałe przedwcześnie. Tych pięć godzin kosztowało ich wiele. To nie jest żywot łatwy te loty co noc, czy co parę nocy, ten przelot wielosetmilowej drogi, na której rozstawiały się baraże najpotężniejszej na świecie artylerii przeciwlotniczej. Nadrenia, północno-zachodnie Niemcy, dzielnice przemysłowe Trzeciej Rzeszy obronione są silnie. Nawet jeśli ci ludzie wrócą na szczęśliwie swe zadanie i wrócą szczęśliwie do domu, to wysiłek ten zużywa najlepsze siły ich organizmu. A zużywa często.

— No i co? — powiadam.

Pilot usmiecha się ze zmęczeniem w uśmiechu, jak robotnik po bardzo ciężkiej pracy. I odpowiada:

— Dostali dobrze. Chce Pan zobaczyć?— Nim rozumiem, mam przed sobą zdjęcia lotnicze, już wywołane, gotowe do raportu. Jak się to dzieje? Mniejsza. Widzę miasto z lotu ptaka, ulice wyraźne, jakieś hangary, dzielnice i dzielnice fabryczne, wszystko. To wszystko jest poplamione białymi plamami...

— Te białe plamy, to ogień — powiada pilot.

— A tamto? — pytam.

„Tamto" — to już nie małe kwadraciki ognia, to mgławice białawe, które rozwiekają się dwoma wielkimi chmurami nad wszystko. Widać, że obie te chmury stają się coraz większe.

„Tamto" — to dymy największych pożarów. Tego już tak łatwo się nie zagasza.

Wiem o tym dobrze. Miasto zaatakowane posiadało — i to był cel nalotu — największe niemieckie zakłady chemiczne. Jedne z największych na świecie zakładów farbiarskich. To właśnie one teraz płoną od bomb lotniczych, brytyjskich i polskich.

— A to? — pytam jeszcze.

— Te jakby białe, skręcone nitki? To światła reflektorów robią taki efekt na kliszy.

Mówiąc, to smaruje na grzankę ciemnoczerwony jam. Je powoli, jakby samo jedzenie go męczyło. Wygląda tak jak robotnik, który po nocy ciężkiej pracy w kopalni wrócił do domu i pożywia się przed spaniem. Pod oczyma ma sine podkrążenia. Na policzkach ma cienie zielonkawe. Uśmiecha się do mnie swymi jasnymi, słowiańskimi oczyma.

Do stołu przysiada się kilku innych lotników, którzy tymczasem przybywali z lotniska. Uzupełniają swoje wrażenia. Na miasto Z..... poszło — podobno — 130 bombowców. W tym około trzydziestu polskich. Dziś poszły także i pierwsze bombowce holenderskie.

Mój znajomy pilot wstaje od stołu.

— Warto się jeszcze kropnąć do łóżka — mówi jeszcze.

I odchodzi. Ale w drzwiach zatrzymuje się, I przepuszczając mnie przodem, mówi jeszcze:

— Żeby to chociaż nasi w Warszawie, w Wilnie, wiedzieli, jak my dziś, jak my teraz... Za tamto co Niemcy u nas... Żeby wiedzieli...

— Będą wiedzieli — powiadam.

Na korytarzach pustych wielkiego domu jest już blask biały wczesnego, niesłonecznego dnia. W sali chrypie radio. Audycja z Londynu.. Jakies wiersze. Słychać płynie wyraźna, silna strofa:

Już się zbliża ten dzień, gdy zaplaci się wam,
już się dobrzy sąsiedzi nie bójta,
za Warszawę, za Belgrad, za Rotterdam
nie będziemy chodzili do wójta!

ZYGMUNT MILEWSKI

DOJDZIESZ

Pamięci generała Władysława Sikorskiego

Gdzież ptakom szukać wzlotów, gdy braknie im nieba?
Gdzież spocząć w noc pożaru, gdy własny dom płonie?
Dokąd zwrócić krok błędny, gdy ślad — śniegi zawiewa?
Jak dzwonić na „Te Deum", gdy serca brak w dzwonie?

Tyś wiedział, — gdy śniąc jedno marzeniem upartem,
Z prochuś podniósł nadludzko ciężki Jej majestat,
I serce swe, wygnaniem z Jej łona wydarte, —
Zwrócił, — tchnąwszy w Omdlałą, — sił życia atestat.

Tyś wiedział, Generale, jak nadzieję wskrzesić,
Ze słowa w czyn-ją zmienić, a czyn skrzepić w granit,
Jak w zemsty stal nas zakuć — wrogom nią zaświecić
I serca zerwać w jedną zamieć huraganu.

Wiedziałeś, Generale, — synowską miłością.
Ogień serc podtrzymując, — w zimnym dżdżu niechęci,
Że dojdziesz razem z nami... i święciés to odczuł,
Bo dojdziesz zaniesiony relikwią pamięci.

ZDZISŁAW BRONCEL

NA ŚMIERĆ GENERAŁA

Nie poprowadzisz, Generale, mazura,
Nie będziesz dowodził wracającym wojskiem,
Śmierć kradnie laur — róż Ci po laurach,
Gdy życiem runąłeś w Polskę.

Nie poprowadzisz, Generale, żołnierzy.
Nie wydasz do szturmu komendy oddziałom,
Cóż Ci z tryumfu — gdyś w niebo uderzył
Miazgą czerwoną i białą.

Już nie dopełnisz, Generale, przeglądu,
Nie przyjmiesz ostatniej spowiedzi swej armii,
Cóż Ci z honorów, z raportów i frontów —
Najwyżej stoją umarli.

Już nie podejmiesz, Generale, buławy,
Nie weźmiesz leżącej na granicznym polu,
Cóż Ci z tytułów i cóż Ci ze sławy,
Gdy padłeś zamiast symbolu.

Odpływasz od nas, żeglujący wśród cieniów,
Sztandarem brytyjski nakryłeś ocean —
Cóż nam zostawiasz? — niepokój w sumieniu,
Tragiczny dla Ciebie pan.

Odpływasz od nas w horyzonty zamglone,
Ze światem innego poszukać przymierza —
Powiedz nam, jakie wyrzekłeś przed zgonem
Amen polskiego pacierza?

Jak trumna, ciąży podniesiona spuścizna —
Na twarz swą chorągwie zarzucasz, jak togę —
Wodzu Naczelny! — wróć jeszcze i wyznaj
To, co wyznajesz przed Bogiem!

Jak trumna, ciążą nasze myśli przy zwłokach.
O czemże sam myślisz zamknięty wśród glorii?
Wodzu Naczelny! — wróć jeszcze i pokaż
Przejście pośrodku historii!

Odpływasz w górę — uniesiony przez naród,
Opadasz w otchłanie — spuszczany powrótem —
Trzebaś Ci było śmiertelnych czarów,
By serca złamać o pustkę?

Trzeba Ci było wyzwolenia od ciała,
By szlify pozrywać z śmiertelnej nagości,
I w twarz nam rzucić gwiazdy generała,—
Naukę przyszłej wolności.

JERZY BAZAREWSKI

OBŁOKI, GOŁĘBIE, KAMIENIE

Na twarzy pana szefa leżą bruzdy: poprostu lata, poskładane obok siebie. Wiatr, lekki ale natrętny, wyrywa z pod przycisków jednych kamyków papierki. Buty, fasowane i ciężkie, patrzą zadartymi pucami nosów w twarz Władzia Filigranika. Pan szef też patrzy na Władzia. Wyblakła niebieskość szefowych oczu szuka w twarzy Władzia śladów pamięci o sosnach, które rosły koło Skoczowa.

Ach, Skoczów! Tylko przypomnieć, od razu zahuczy w głowie nazwami, głosami, zapachami. Kwiaty i sanatoria, Brenny i Cieszyny, coroczne tłumy harcerzy w najsynniejszej polskiej harcerskiej szkole Kamińskiego, — właśnie w Brennej.

Władzio czyści buty i szybko oddycha. Pana szefa ogarnia jakby rozrzewnienie: na różowej twarzy Władzia swieca kropelki potu. Dym z kuchni pruje szybko, wysoko i rozłożyście. Władzio ze złością pociąga nosem: — Znowu, cholera, ryż!— A pan szef bezmyślnie powtarza pogniosem, patrząc na głowę piskięcia w goździku, zrobionym ze skrzynki po australijskim piwie: — Ryż.

Oczy pana szefa i Władzia spotykają się. Chłopiec położył szczotkę i nie zmieniając pozycji, czyli nieprzepisowego przysiadu (pięty osobno), zagadał: — Wie pan sierżant? — I pokazał na gośbie kluchowatym palcem. Szef zamrugał: — Tak, gośbie u nich takie same. — Ja kupiłem przed samą wojną dwie pary takich, — przerywa Władzio. — Wie pan gdzie? W Brennej. U jednego, co handlował towarami Jankowskiego, ale czasem przywoził gośbie. — Twarz Władzia stała się zamyslona: — Teraz pewnie pomarnowały się...

Ale wystarczy oderwać oczy od nieba, od razu szef i Władzio patrzą w bezkres pustyni. Ziemia ta strasznie jest jednakowa. Jedynie na południu trochę pagórków, obsypanych namiotami.

Przedwieczorna godzina czyni pustynię większą. Kiedy słońce jest już tuż przy ziemi, pustynia chropowacieje. Kamyki dzięki oświetleniu z jednej strony rzucają cień. Władzio potrząsnął głową, wziął związane buty i poszedł, kiwając się, do namiotu. Za jego przysadkowatą figurą kołysze się niezdarnie, chociaż w takt kroków: cień. Namioty leżą jak piramidki, ale i jak wojsko, równo, w rzędzie. Władzio podobny jest teraz do mapy. Wchodzi do namiotu i pan szef dostrzega, że w chwili gdy chłopiec pochylił się nad pasem parciannym, mocno opinającym, zwisł wałek tłuszczu Władziowego brzucha. I od razu pan szef jakoś tak pomyślał: ryż.

Oczy pana szefa Łądzą opodal namiotów, wokół kuchni i dwu chatek z workowych płócien. Potem spojrzenie przenosi się na wspaniałe pióropusze kurzu nad drogą. Potem znowu namioty. Duży jest Irak, — mysli pan szef, — dużo trzeba dać codziennie ryżu, żeby obdzielić „tyle luda". Ale tematy rwą się. Że też — myśli dalej pan szef — ten wiatr, cholera, chłodzić nie chłodzi, a psia mać, wyrwać za jednym zamachem dwadzieścia kart mundurowych z pod kamyka to umie. — Kiedyś, w Izdebnej, pan szef jako wójt nie wyobrażał sobie, że dokumenty może bezkarnie wyrywać wiatr.

Z namiotu wychodzą ludzie. Gwizdek, jak na sąd ostateczny. Kolacja. Gruchają gołębie. Na drodze coraz mniej wełonów kurzu. Dzwonią menażki. Pan szef zdejmuje buty i wkłada gumowe pantofle, obmacując przedtem delikatnie piekące odciski. Zdjęte buty są obrzymie, przyprawiają pana szefa swoją nieforemnością o ponure myśli. Twarze baterii są czerwone i zdrowe. Piersi rozedrgane gruzełkami mięśni pod brązową skórą. Kuchnia pyka dymem od dolewanej ropy. A chłopcy idą po zupę jak do tańca.

Pan szef zakrapia cynkowymi kroplami oczy, poczem przegląda się w lusterku. Widać twarz kształtną i ogoloną, ale starą i suchą. Jak stare i suche są kolana, dające o sobie znać strzykaniem reumatycznego bólu.

Komary zaczynają dzwonić po ósmej. W blasku księżyca idzie w piżamie do kancelarii kapitan. Księżyc jest drań i kpi sobie z kapitańskiej głowy, przeglądając się w łysinie. Pan szef stoi przed namiotem i słucha radia: głosu swego byłego podkomendnego, który bardzo źle salutował, źle obierał kartofle, ale mówi teraz zupełnie dobrze. A on, szef, słucha. Padła Pantellaria. Płyną obłoki. Kapitan nudzi pytaniami o wozy, które jutro odjadą na nowe m. p.

Pan szef patrzy w łąkę, ze zbiorami arabskiego kundla, który wyrósł jak z pod ziemi, zdyszany i przyjaźnie merdający ogonem. Cień kapitana ucieka do namiotu. Ucichło radio.

Pustynia jest cicha i wielka. Namioty leżą szare. Pan szef myje się, wyciera się. Zapala papierosa i kładzie niedopałek na stole. Wiatr kieruje na niemiecki zachód dymek z papierosa.

Dziwnie kojarzą się rzeczy. Na zachód, to znaczy na Skoczową, na Śląsk. Ale przedtem na nowe m. n. Na śleś tam jeszcze m. n.

SPRZYMIERZEŃCY POLSKIEJ NIEDOLI

O działalności pp. Loch

Gdy po przewrocie „Żelaznej Gwardii" polscy uchodźcy zmuszeni byli opuścić Rumunię, przybyłam wraz z rodziną na Cypr,

Pp. Loch udzielają wywiadu

Powiedziano nam już w Bukareszcie, że opiekę nad nami obejmą angielscy kwakrzy. Jakoś nikt sobie dobrze tych kwakrów nie umiał wyobrazić. Łączyło się z tą nazwą wiele skojarzeń raczej mało zachęcających: zawodowa filantropia, purytanizm, „kwakierska cnota", antyalkoholizm — słowem rzeczy raczej niepokojące.

To też gdy ujrzałam w hallu hotelowym zlekka siwiejącą panią w angielskim kostiumie i dowiedziałam się, że jest to właśnie nasza opiekunka, przedstawicielka owych tajemniczych kwakrów — pani Joyce Loch, przyznaję, ze wolałam pozostać z daleka. Sumienie moje, jak na kwakierskie kryteria, nie było zbyt czyste: miałam umalowane usta, paliłam papierosy, marzyłam skrycie o wypiciu kielisza osławionego cypryjskiego wina—to też nieufnie patrzyłam z dala, jak p. Loch rozmawiała z przybyłymi, jak wypytywała o ich życzenia i potrzeby.

A potem, i to bardzo prędko, zapomnieliśmy w ogóle, że pp. Loch są przedstawicielami owych groźnych kwakrów. Stali się poprostu naszymi najlepszymi przyjaciółmi, którym zwierzaliśmy każdy kłopot i każdą biedę, a którzy zawsze potrafili jakoś złemu zaradzić. O pani Joyce Loch nie mówiło się już inaczej, jak „ciocia Lochowa". Jak prawdziwa „dobra ciocia", umiała ona bystrym okiem wypatrzyć, że ten ma dziurawe buty, a tamten nie posiada ciepłego ubrania, temu potrzeba dentysty, a innemu jeszcze nie służy pobyt w górach. Szczególną opieką otoczyli pp. Loch dzieci: wkrótce powstała polska szkoła na Cyprze w miejscowości Platres.

Akcja opiekuńcza pp. Loch obejmować zaczęła coraz szersze dziedziny naszej przymusowej na Cyprze wilegiatury: z ich inicjatywy powstał w Famaguscie polski szpital wojenny (Emergency War Hospital), zorganizowany, urządzony i obsłużony wyłącznie polskimi siłami. Znalazły się w Platres i działki ogrodowe, oddane uchodźcom pod uprawę. Powstały liczne warsztaty — szwalnia, stolarnia, ślusarnia, mnożyć się zaczęły odczyty, kursy, wykłady i lekcje angielskiego. Uchodźcy, wytwornie przybrani w angielskie tweedy, już nie krążyli bezczynnie po pięknej wyspie bogini miłości.

Idyllę przerwała ewakuacja, gdy po wzięciu Krety, Cypr przygotowywał się do obrony i zamieniał pomażu w wielki obóz wojskowy. Pp. Loch wyjechali wraz z nami do Palestyny, gdzie pozostali już, wysławszy swe cypryjskie owieczki na dalsze bytowanie do Północnej Rodezji. Ale w Palestynie istniała już wtedy dosyć liczna kolonia polska. Pp. Loch szybko zapoznali się z tym nowym srodkowiskiem uchodźczym, jego potrzebami i bolączkami i zaczęli działać. Każda inicjatywa uchodźców, w szczególności dająca możność zatrudnienia czy kształcenia jak największej ich ilości, znajdowała pełne poparcie i pomoc u pp. Loch: znowuż więc kursa, szwalnie, spadły skądś z nieba ręczne warsztaty tkackie, tu jacyś uchodźcy zaczęli wyrabiać pomysłowe zabawki, dzięki narzędziom i materiałom dostarczonym przez pp. Loch, w Tel-Avivie powstał klub polskich kobiet, z żadnym własnym lokalem, zaopatrzony w maszyny do szycia i t. p. A pracy było coraz więcej. Napływały już z Iranu pierwsze fale uchodźców z Rosji—a wśród nich dużo dzieci, zagłodzonych, schorowanych, bezdomnych i „bezpańskich — często pozbawionych rodziny.

Państwo Loch niezwłocznie zajęli się nimi. W krótkim czasie powstał dom w Betanii, gdzie już po trzech tygodniach pobytu dziewczęta przybierały przeciętnie po 4—5 kg. na wadze. W wynajętym przez pp. Loch klasztorze w Ain-Karem powstała szkoła polska z internatem. W starym prawosławnym klasztorze w Jaffie, w którym państwo Loch sami mieszkają, znalazło dzięki nim pomieszczenie kilkadziesiąt młodszych dzieci z matkami: warto widzieć te niedawne „głodomorki" z Rosji, jak rumiane i opalone brykają w cieniu starych drzew klasztornego ogrodu pluskają się w basenie — nie zaniedbując jednocześnie nauki, którą pobierają na miejscu w zakresie pierwszych klas szkoły powszechnej.

Kilka miesięcy temu, pp. Loch wynajęli przestronny, wśród ogrodów położony dom pod Jaffą, w którym zorganizowano Stację Opieki nad Matką i Dzieckiem, i myślą już o wyszukaniu jakiegoś większego domu, by pomieścić jeszcze większa ilosć młodych matek z niemowlętami.

Pp. Loch nie ograniczają się swej akcji do inicjatywy i rozdziału funduszów, którymi dysponują zarówno z ramienia „Society of Friends" jak i „Polish Relief Fund". Całe ich życie zamyka się w najtroskliwszej pieczy, jaką roztaczają nad organizowanymi przez nich instytucjami. Wiedzą o każdym szczególe i o wszystko się troszczą: tu potrzebne są nowe żarówki, tu wózek dla dziecka, tu trzeba się postarać o płócienną markizę, by blask palestyńskiego słonca nie raził niemowlęcych oczu. Nie ma dla nich rzeczy zbyt drobnej, czy zbyt mało ważnej, gdy chodzi o tych, nad którymi objęli opiekę.

Któż są ci ludzie, którzy całe życie poświęcili pomaganiu ludzkiej, a w szczególnosci polskiej niedoli? Bezdzietni, zamożni, on ze starej szkockiej rodziny, ona — Australijka, siostrzenica gen. Gordona i kuzynka Lorda Gorta, właściciele pięknej posiadłości w Australii i historycznego zamku w Grecji — mogliby prowadzić wygodne i interesujące życie zamożnych turystów, bez trosk i trudów. Ale woleli skorzystać z tej niezależności, aby cały swój czas i energię oddać na usługi nie chłodnej, bezdusznej filantropii, ale owej prawdziwej, chrzescijańskiej Caritas, jaką reprezentuje „Society of Friends", organizacja kwakierska powstała blisko 200 lat temu w Anglii i w Ameryce.

Polskę poznali pp. Loch na długo przedtem, nim sojusz połączył te dwa odległe kraje, nim braterstwo krwi i broni zbliżyło do siebie te dwa tak odrębne narody. Poznali ją nie jako turyści, ale jako członkowie wielkiej ratowniczej misji kwakierskiej, która przybyła do Polski po wojnie 1920 r.

— Pani tego nie pamięta, pani nie wie, jak wyglądał Wasz kraj, a w szczególnosci jego wschodnie kresy, po zakończeniu działań wojennych — mówi p. Sydney Loch. — Kraj był straszliwie spustoszony, wsie popalone, gospodarstwa zniszczone, pozbawione narzędzi, inwentarza, zboża na siew. Głód, epidemie, bandytyzm — z tymi trzema plagami trzeba było walczyć. Podczas gdy żona moja pracowała w zachodnich prowincjach kraju nad młodzieżą szkolną, jeżdżąc i mieszkając w oddanym jej do dyspozycji przez Ministerstwo Komunikacji starym wagonie, ja zajmowałem się pomocą ludności wiejskiej na kresach. Od armii zakupiliśmy 20,000 koni: każdy gospodarz, który przystępował do odbudowy swego gospodarstwa, otrzymywał 2 konie, drzewo, które uzyskaliśmy z lasów państwowych na budulec, narzędzia, gwoździe, zboże na zasiew, i t. p. I tak pomału dźwigała się do normalnego życia wieś po wsi.

Z tabunami owych koni i gromadą chłopców stajennych, na lichych furmankach, przemierzał p. Sydney Loch nasze kresowe lasy i pustkowia, mokradła i bezdroża — podążając z miejsca na miejsce tam, gdzie tylko pomoc była najpotrzebniejsza. Nie przerażały go trudy i niebezpieczeństwa takich podróży, nie przerażał tyfus, szerzący się poprzez brud, nędzę i wszy. Ten człowiek poznał nasze rany — poznał nasz kraj w momencie, gdy dźwigał się on dopiero z niewoli i wojennego zniszczenia do niepodległego bytu. Poznał go i pokochał.

Już dziś myśli o wielkiej misji ratowniczej, jaką jego kwakrzy zorganizować będą musieli na pomoc Polsce, gdy wróg opuści jej terytorium.

Niełatwo jest robić wywiad z p. Loch. Niechętnie mówi o sobie i swoich dokonaniach. Uważa je za rzeczy tak proste i same przez się zrozumiałe, a wobec ogromu potrzeb i niedoli — za tak bardzo niewystarczające. Nie od niego dowiedziałam się, że jest on autorem pięknej książki o Polesiu w języku angielskim, że ma za sobą taki wyczyn, jak przepłynięcie żaglówką oceanu z Australii do Anglii.

Pytam go jeszcze, jakie były jego losy podczas poprzedniej wojny światowej?

— Wojna zastała mnie w Australii, wstąpiłem więc do armii australijskiej. Brałem udział w ataku na Galipoli, potem byłem ranny i już od tego czasu nie władam swobodnie ręką.

Nasuwa mi się jeszcze jedno pytanie:

— Przez tyle lat pracował Pan z Polakami i dla Polaków. Przy naszych polskich temperamentach, tak odmiennych od Waszego opanowania, musiało to czasem sprawiać Panu pewne kłopoty i trudności?...

Na to pytanie p. Sydney Loch nie odpowiedział. Popatrzył swymi dobrymi, siwymi oczyma na kwitnące pomarańczowe ogrody, rozciągające się u stóp balkonu, na którym siedzieliśmy, i uśmiechnął się tylko bardzo dobrotliwie...

Tak, ten człowiek napewno nie pamięta zgrzytów czy trudności. W jego uśmiechu było wielkie wyrozumienie i ta prawdziwa dobroć, która wszystko wybaczą i tylko dobro pamięta. Zresztą oboje pp. Loch wiedzą, że ci wszyscy pośród nas, którzy zetknęli się z nimi przy pracy, którzy poznali z bliska ich wielkie i zacne serca, nie zapomną nigdy tej pięknej roli, jaką w najcięższych dla Polaków chwilach odegrali ci sprzymierzeńcy naszej polskiej niedoli.

Ewa Mieroszewska

Z ducha Piłsudskiego

Wiersze Wierzyńskiego na emigracji

Kazimierrz Wierzyński. Ziemia-wilczyca. Kolin, Londyn, 1941. Str. 30 i 2 nl.

Na tle poezji emigracyjnej tom wierszy Wierzyńskiego „Ziemia-wilczyca" tak się wyróżnia swą odrębnością, że już to samo powinno usprawiedliwić poświęcenie mu obszernej recenzji, mimo że zgórą dwa lata minęło od pierwszego wydania. Pierwszy nakład zbioru, obejmującego 17 wierszy pisanych w Polsce i we Francji, ukazał się w Londynie w marcu 1941, w miesiąc później wyszło drugie wydanie — pewna ilość egzemplarzy przedostała się nawet i do Rosji, natomiast na Środkowym Wschodzie ten właśnie zeszyt poetycki był jednym z najmniej znanych.

Dziś Wierzyński jest już inny, jest na dalszej drodze, której znaki możnaby odczytywać z „Róży wiatrów", ogłoszonej w Ameryce. Ale Wierzyński z „Ziemi-wilczycy" jest tym, który słowem poetyckim dawał odpowiedź na zbliżający się konflikt z Niemcami, na wojnę, na załamanie się budowy państwa, na ostatnie lata naszej historii. Poezja Wierzyńskiego w ostatnim okresie przedwojennym była w szerokim znaczeniu określanajako poezja narodowa, i taką pozostała, odcinając się wyraźnie od ogólnego tła literatury emigracji. Rzecz tym bardziej zwracająca uwagę, że wszędzie przeważa motyw patriotyczny i ciągły nawrót do Polski.

Jest to jednak raczej nawrót, sentymentalne schylanie się nad przeszłością, niż jej kontynuacja. Poza nieliczną grupą raczej okolicznościowych utworów, nawiązujących do obrony Warszawy, do epizodów walki, główny nurt poezji skierował się ku wspomnieniom. Zrazu był to prosty odruch ludzi, którzy straciwszy najdroższe, starają się odtworzyć wszystkie okoliczności straty, tak jak matka pyta o ostatnie godziny dziecka, przy których nie była obecna. Wszystkie okoliczności, obrazy ostatnich dni nabierają szczególnego znaczenia, tak jak dla chrześcijaństwa przedśmiertne dni Chrystusa, zakończone wieczornym posiłkiem w czwartek, urosły do Wielkiego Tygodnia. Dla każdego był to nadto nie tylko udział w nieszczęściu ogólnym, ale i dramat osobisty, co w naturalny sposób wyzwalało czysto osobistą lirykę. Ona też, jeśli pominąć popularne wtedy rymowane wiecownictwo, górowała jako naczelny temat.

W miarę upływu lat wojny dołączał się motyw tęsknoty, szukania podobieństw z Krajem, zamiany wiersza na sposobność przypomnienia, aż wreszcie pod wpływem świadomości, że strata nie jest przejściowa, ale ostateczna, i że przedwojenny kształt świata nie powróci nigdy, przemieniło się to w troskę o utrwalanie w poezji zgasłego obrazu, w kult patyny wspomnienia. Z tego nastroju, rozszerzającego się na literacką modę na emigracji, wywodzi się i zbiorowy „Kraj lat dziecinnych" i głośny „Poranek warszawski" Balińskiego i „Popiół i wiatr" Słonimskiego, gdzie sam tytuł podkreśla epigoniczność poematu, który mógłby być dedykowany Małej i Dużej Ziemiańskiej.

Każdy z tych poetów stał się inny niż przed wojną. „Wielką podróż" Balińskiego witano nieomal tak jak gdyby to był świetny debiut, pojawiły się tak przedtem rzadkie wiersze Wittlina i Lechonia, rubayaty wojenne Pawlikowskiej — krótkie okrzyki zdziwienia nad światem i zgrozy — jakże są odmienne od wierszy „Baletu powojów"! Natomiast Wierzyński ogłasza spięte jedną okładką, jednym tytułem, wiersze pisane w sierpniu 1939 i po upadku Francji, dołącza do nich poemat „Barbakan warszawski", rozpoczęty w listopadzie 1938 roku, zakończony w rok później.

Ta ciągłość wygląda z daleka jak poetycka splendid isolation i jest niepokojąca. Wojna nie załamuje linii rozwojowej poezji Wierzyńskiego, nie zmienia jej kierunku, tak dalece, iż trzeba albo przyjąć, że bieg wypadków był w zgodzie z rosnącą ostatnio tragiczną nutą tej twórczości, albo że Wierzyński dostosował się jakby w proroczym przeczuciu do nadchodzącej przyszłości.

27 sierpnia pisze „znowu będzie wojna", przepowiadając pożar, który „wszystko z tych murów pościera, oprócz krwi, zapisanej na waszej katedrze" — w kilka dni później bliski jest sformułowania klęski materialnej i moralnego zwycięstwa:

„Tę wojnę wygrać musimy
tej jesieni, tej zimy —
albo za wiele lat."

Kto mówił o wolności tragicznej, ten był wewnętrznie przygotowany do przyjęcia jej następstw. Związanie poezji z tendencją dziejów Polski, wiązanie jej z państwem dało ową łączność między utworami z przed wojny i po wojnie.

Zdawałoby się jednak, że nic niebezpieczniejszego nad tę spójnię dla ciągłości poetyckiej drogi, że właśnie liryka narodowa musi doznać po Wrześniu o wiele silniejszego wstrząsu niż liryka o typie osobistym, prywatnym. Tymczasem poezja Wierzyńskiego dorasta godnością męskiej śmierci żołnierza. Nie ma w niej łez, nie jest poezją upadku, ale poezją wewnętrznego zwycięstwa, jest — w najlepszym sensie — romantyczna. Idzie prosto z aforyzmu Piłsudskiego, że ten jest prawdziwym zwycięzcą, kto pokonany nie upadł, i ten pokonanym, kto zwyciężył i spoczął na laurach.

Emigracja nie tylko nie prowadziła Wierzyńskiego do wyłączności tęsknoty i wspomnień, ale jakby przeniosła mu Polskę w szerszy świat, powiększyła jej duchowe granice w czasie i przestrzeni, w miarę jak walka ogarnęła nowe narody i jak coraz wyraźniej określały one swe ideały, o które toczy się wojna. Znamienne przy tym, że to podkreślenie europejskości Polski, sięgające w starożytność do Grecji i Rzymu, we współczesność, w braterstwie jednego ideału, sięgnęło naówczas i do Finlandii. Poezja narodowa Wierzyńskiego stała się ogólnoludzka, nie tracąc nic ze swej narodowości. Gdyby przykładać do niej praktyczny sprawdzian, zwykle u nas zaniedbywany, czy można tę lirykę tłumaczyć na obce języki i czy jej patriotym będzie bliski i zrozumiały Francuzowi, Anglikowi, Norwegowi, — odpowiedź wypadnie: tak. To już bardzo dużo.

W ten sposób wojna wrześniowa nie jest dla Wierzyńskiego klęską, lecz przede wszystkim wielkością protestu, zaszczytem podjęcia oporu.

Europejskość polskiej bitwy jest przeciwstawieniem się każdemu antyeuropejskiemu zalewowi, czy to będzie perska fala, maurytańska, czy germańska. Wierzyński czuje się jako Polak duchowym rasistą Europy, Polakiem - Grekiem. Polakiem - Rzymianiniem, Polakiem — spadkobiercą rycerza Karola Wielkiego:

„Duchy, na których budował się świat
ptaki, coście przed nami leciały
wiosennym, jesiennym ciągiem chwały,
spójrzcie jaka zawieja
i jak się rozwala
grom coraz huczniej!
Przeciw takiej przemocy
trzeba nam duszy Cyda,
Mitów Corneille'a
i Rolandowej włóczni.
Homerowego trzeba nam śpiewu
i homerowych rapsodów
na bezimiennej, drżącej od gniewu
wardze narodów."

Przy tej wierze, przy przeświadczeniu, że całość dramatu wojny była cząstką polskiego skazania na wielkość, poezja „Wolności tragicznej" znalazła swój naturalny dalszy ciąg w „Ziemi-wilczycy". Poeta wiersza „tym się tylko żyje, za co się umiera" mógł pozostać wolny od niespodzianek swej twórczości, gdy nadeszła emigracja.

Ujęcie Wierzyńskiego przerzuca łuk przymierza między eposem starożytności i Polską, między Akropolem i Wawelem, starym ateńskim zaułkiem i ulicą Warszawy, samotracką Nike i Orłem Białym. Ale równocześnie oznacza to zgodę na polską rolę mesjanistyczną, równą przyjęciu roli ofiarnej, roli pierwszego, beznadziejnego oporu. W upojeniu bohaterstwem i mesjanicznością Polski nie ma prawie miejsca na gorycz wojny przegranej. Ewentualna wymówka nie zwróci się ku nam, lecz ku Europie, czemu „nie biegnie swoim kohortom z pomocą". Jedynie wiersz „W rocznicę śmierci pułkownika Sławka" podejmuje obrachunek z naszą przeszłością, ograniczony jednak do okresu po roku 1936. Analiza sięga płytko i sprowadza się do wniosku „wodza ślepi zaparii się ucznie", co zresztą nie powinno zaskakiwać u pisarza, który był poetą Piłsudskiego. Nie ma więc dla Wierzyńskiego zagadnienia możliwości innego przebiegu kampanii wrześniowej, ani innych rozwiązań, jak ofiarny mesjanizm, dla politycznej roli Polski. Z fragmentów takich, jak „okopcie kurhany i żywi na kurhanach na okopach stańcie", wynika, że poeta z góry oczekiwał nowej walki Wenedów i tę walkę aprobował. Poezja nawskroś romantyczna, tylko pozornie przeciwstawiająca się spuściźnie Trójcy, tak jak pozorny był antyromantyzm literacki Wyspiańskiego, antyromantyzm polityczny — Piłsudskiego. Poezja — z ducha Piłsudskiego, który „to, co mówił żołnierzom, szepnie dziś poecie" („Wstążka z Warszawianki").

Oczywiście w „Ziemi - wilczycy" jest część wierszy, które zjawiają się w każdym szkicowniku poetyckim, jak „Wróć nas do kraju", „Sekwana", „Śnieg w Paryżu" — dostatecznie określonych przez same tytuły. Ale trzon tomu „Ziemia-wilczyca", wynoszący ten zbiór na jedno z czołowych miejsc w poezji emigracyjnej, stanowi cykl wierszy takich, jak „Wstążka z Warszawianki", „Święty Boże", „Zstąp Duchu Mocny", „Via Appia", „Ziemia", „Łuk triumfalny", „Modlitwa za poległych w Warszawie" i końcowy poemat „Barbakan warszawski", poświęcony „sprawie Stefana Starzyńskiego, budowniczego i obrońcy Warszawy, bohatera wojny z Niemcami".

Z nich to właśnie przemawia nowy Wierzyński. Znaliśmy potąd jego ulubioną formę, płynny trzynasto- lub jedenastozgłoskowiec, wiersz, którym Mickiewicz pisał „Paná Tadeusza", Słowacki — „Beniowskiego", związany z najwyższymi osiągnięciami naszej poezji, polskie klasyczne metrum. Talent Wierzyńskiego nie spotkał się z awangardą poetycką czy to z pod znaku Przybosia, czy Czechowicza, to wszystko jednak, co w poezji „Skamandra" było ostrością, nowoczesnością formy, Wierzyński wtopił artystycznie w klasyczny rytm polskiego wiersza. Byłaby to najwyższa ambicja w zakresie formalnym, harmonizowanie nowoczesności z klasycznością, podniesienie modernizmu swego wieku do rangi klasycznej przez związanie go z dotychczasową ciągłością kulturalną. Z takiego stopu powstała kiedyś „Oda do młodości" i „Sonety krymskie".

Tylko geniusz przebywa tę drogę nie tracąc nic z oryginalności. Wiersz Wierzyńskiego, obrazujący nowocześnie, posługujący się śmiałym skrótem, dźwięczy często Mickiewiczem i Słowackim. Forma Wierzyńskiego szuka oparcia w tradycji, mimo to jednak wiersz pozostaje odkrywczy i świeży, mickiewiczowski zwrot jest w nim poetycką transpozycją, wydobyciem nowych wartości z dawnego słowa.

Z tego ścisłego związku z naszą tradycją kulturalną wynikało jednak, że liryka narodowa Wierzyńskiego była niejednokrotnie zbyt literacka, nadużywająca rekwizytu wziętego z historii, z poezji, z teatru. Odzywa się to jeszcze w pierwszym wierszu tomu, lecz następne — to już nowy Wierzyński, pełen modlitewnej prostoty, dochodzący do nieporównanych myślowych i obrazowych syntez.

Zmiana płynnego trzynastozgłoskowca na wiersz wolny, podatny, lakoniczny, zmiana śpiewności na metaliczną siłę dzwonu, zbliżyła tę poezję do rytmu Wyspiańskiego. Gdyby użyć porównania z zakresu plastyki — zmieniła poezję barwy, nastroju w poezję linii, tak bliską linearnemu malarstwu Wyspiańskiego. Można tu spotkać echa dialogu Kory i Demeter z „Nocy listopadowej", wezwania Pallas-Ateny do Podchorążych, scen z „Akropolis" i „Wyzwolenia".

Świat klasyczny zaludnia znów scenę polską. Jak w „Nocy listopadowej", wśród łazienkowskich rzeźb, jak w „Akropolis" wśród wawelskich arrasów, mieszają się postacie i symbole klasycznych mitów i Polski. U Wyspiańskiego powstały one z egzaltacji klasycznym pięknem i bujnością życia, z wizji malarskiej, u Wierzyńskiego — ze świadomego związku z klasycznym heroizmem, ze znalezionego sensu historiozoficznego. Ukazanie Pallas-Ateny jako końcowego symbolu w „Barbakanie warszawskim", jako postulatu polskich wartości, nie jest przypadkiem. To przemówił Wyspiański — ulubiony poeta Piłsudskiego. Nowe Akropolis polskie Wierzyńskiego nie przenosi jednak świata Hellady na Wawel, lecz Wawel i Warszawę na wzgórze Akropolu, w prawo klasycznej jedności we wspólnym ideale kulturalnym.

Zdzisław Broncel

Podręczniki do nauki języka polskiego

Marian Falski. Elementarz. Jerozolima 1943. Str. 118.

Grotowska, Gutry, Klingerowa. Czytanka dla klasy II szkół powszechnych. Jerozolima 1943. Str. 125 i 3 nl.

Benedykt Kurbski, Mieczysław Kotarbiński, Ewa Zarembina. Czytanka dla III klasy szkół powszechnych. Jerozolima 1943. Str. 124.

Stanisław Tync, Józef Gołąbek i Julia Duszyńska. U progu Polski. Czytanka polska dla IV klasy szkoły powszechnej. Jerozolima 1943. Str. 155 i 5 nl.

Zenon Klemensowicz. Język polski. Ćwiczenia i pogadanki gramatyczne dla I klasy gimnazjalnej. Jerozolima 1942. Str. 63 i 1 nl.

Julian Szwed. Ćwiczenia w pisowni polskiej dla gimnazjów ogólnokształcących i szkół zawodowych ze słownikiem około 15.000 wyrazów. Jerozolima 1942. Str. 191 i 1 nl.

Wszystkie książki wydane zostały przez Urząd Oświaty i Spraw Szkolnych nakładem Komisji Regulaminowo-Wydawniczej Dowództwa Armii Polskiej na Wschodzie.

Na progu nowego rogu szkolnego stajemy znacznie lepiej uposażeni niż w ciągu ubiegłych lat tułaczki. Wydawnictwo książek szkolnych wypełnia, pozycja po pozycji, nie tyle luki, ile raczej pustkę, jaką zastało na swym terenie, i może się poszczycić w ciągu niedługiego czasu bardzo poważnym dorobkiem, bo wydaniem około trzydziestu podręczników.

Trudno dostatecznie podkreślić znaczenie tej pracy i tych osiągnięć. Naprawdę mogą zrozumieć tylko bezpośrednio zainteresowani: nauczyciele i dzieci, rozsiane po wszystkich częściach świata. Ileż tysięcy dzieci polskich wyciąga z radością ręce do barwnych, nowiutkich okładek książek szkolnych, dla nauczyciela zaś to nie tylko radość, to podstawa pracy — ta książka polska na obczyźnie. Głód podręcznika, niemożliwość prawidłowej nauki były przez ubiegłe lata największą bolączką polskiej szkoły.

Wydawnictwo poszło drogą przedrukowywania polskich podręczników przedwojennych, usuwając tylko i zmieniając to, co za konieczne uznano. Podręcznik ten, rzecz prosta, był z ducha dawnego programu szkolnego. Sprawa oceny owego ducha należy raczej w tej chwili do historii szkolnictwa, podręcznik zaś szedł i iść za nim niewolniczo musiał. Stał się zatem ten dawny podręcznik dziwnym kompromisem wszystkich niemal programów politycznych i społecznych, a mimo to nie stworzył dla umysłu dziecka świata tolerancji i swobody, tylko raczej bezbarwny świat bezideowy. Nasze podręczniki przedwojenne grzeszyły przy tym zniewalaniem dzieci w kierunku oficjalnych czynników rządzących, a robiły to — zależnie od taktu i talentu autorów — w sposób mniej lub bardziej niesmaczny i sztuczny. Szło tam o nazwiska. Dopiero wtrząsające wydarzenia ostatnie nauczyły nas, że wychowania nie wolno wiązać z nazwiskami, że trzeba je oprzeć na ideach. Nazwiska mają dzieci znać i w miarę swego rozwoju uczyć się je swobodnie oceniać, — w idee wierzyć. Ta tylko droga wiedzie do upragnionej demokracji.

Szczęściem najwalniejsze takie kawałki zostały w obecnych czytankach przetrzebione, już to ze względu właśnie na nazwiska, już to na hasła, jakie rzucały. W pozostałych, z punktu widzenia aktualności niewinnych lub nawet bardzo wychowawczych, ton — niestety ten sam — nieraz musiał pozostać.

A szkoda, bo szereg naszych pedagogów, pisarzy i poetów, których nie brak na Środkowym Wschodnie, mógłby pokusić się, by dać dzieciom tu, na obczyźnie, nową, wojenną czytankę polską.

Podręcznik polskiego, czytanka ma większe znaczenie pedagogiczno-dydaktyczne niż jakakolwiek inna książka szkolna, czy pomoc naukowa. Wprowadza dziecko bezpośrednio w życie. Stąd stawiamy wielkie wymagania czytance, szczególnie czytance dla pierwszych klas, na której dziecko zaczyna wyrabiać swój sąd o otaczającym je świecie i swój stosunek do tego dalszego świata, którego jeszcze nie rozumie, którego jedynie pewne cząsteczki wdzierają się w jego świadomość. Te więc są kąty patrzenia przy układaniu czytanek: dać dziecku pewne podstawowe pojęcia o świecie dorosłych, o jego zjawiskach, prawach, urządzeniach, na których społeczeństwu najbardziej zależy, ale dać w takiej postaci, w jakiej umysł dziecka je zrozumie i polubi; pchnąć je na potrzebną dla społeczeństwa dorosłego drogę, dając wszakże możliwości samodzielnego odróżnienia tej drogi od rozległych obszarów, ciągnących się obok. Trzeba wytworzyć w dziecku przekonanie, a nie nauczyć je sloganu.

Powtarzam jeszcze raz, że ocena przedwojennych czytanek nie leży w zamiarach niniejszych uwag, które odnoszą się do obecnego znaczenia tych podręczników. Skoro zdaliśmy sobie sprawę, że zasadniczo ton i treść ich dawna nie mogła zostać naruszona, omówny teraz, co nowego tu wprowadzono. Otóż tych nowych rzeczy jest mało i odskakują one tak bardzo od tamtych, jak czasy przedwojenne od wojennych. Na tle pogodnych, nieraz radosno-twórczych opowiadanek, groza i prawdziwy patos zdarzeń, nie słów, jaskrawo wydobywa się z tych dodanych ustępów wojennych i wierszy.

„Elementarz" Falskiego ma ustaloną i zasłużoną reputację, dydaktycznie doskonały, operujący metodą łatwą, prostą, celową, przemawia prostotą i wdziękiem. Niestety, dla obecnych siedmiolatków jest nieco za obcy. Koniecznie należało dać więcej ustępów z tego ich rzeczywistego, choć egzotycznego życia, zmniejszyć ilość sanek, łyżw, nart, śniegu, kry, bałwanków śniegowych, aby rozbić fikcję dwuświatowości. Dzieci rosną w jednym realnym świecie, muszą go dobrze znać i przyjąć do wiadomości. Dodano w części drukowanej drobniejszym drukiem, trzy opowiadania: „Polska szkoła na obczyźnie", gdzie za trudny sposób podania treści odskakuje od całości, tym bardziej, że wprowadza dziecko w nowy dział elementarza. Wierszyk „Bóg i Ojczyzna" operuje pojęciami zbyt oderwanymi, z których dziecko nie rozumie i połowy. Szczególnie wyrażenie „czelność" można było darować, mimo że chodzi o „wrażą" czelność. Zato wiersz w zakończeniu „Nowy Elementarz", jest prawdziwie piękny i dostrojony do całości. Graficznie „Elementarz" przedstawia się niezwykle dodatnio: czysto wydany, a ładne i właściwe rysunki zdobią go bardzo. Nietylko rysunki, ale i pisane litery nowego elementarza są ręczną robotą, co mu dodaje w naszych oczach szczególnego uroku.

„Czytanka" Grotowskiej, Gutry i Klingerowej dla drugiej klasy powszechnej jest najsłabsza z całej serii. Dodano jako wstępny wiersz wyjątek z „Bagnetu na broń" Broniewskiego — wybór niezbyt szczęśliwy, bo wiersz nie łatwy. Następne opowiadanie „Władek" i „Jak Władek czołg podpalił" dobrze zestrajają się z całością. Wiersz „Polski żołnierz" i w zakończeniu „Praca dla Polski" zupełnie właściwe. Prawdziwie ładne i wzruszające jest „Wspomnienie Ewuni z Rosji".

W „Czytance" dla trzeciej klasy Kubskiego, Kotarbińskiego i Zarembiny dodane opowiadania i wiersze ukazały się z podpisami autorów. Wśród dodanych opowiadań „Janek" jest raczej — tak pod względem problemu, jak i stylu — na poziomie gimnazjalnym. Natomiast dwa wiersze Hemara „Warszawa dotrzyma" i „Święty Mikołaj" oraz kolęda Bugusławskiego nie nastręczają dziecku trudności w zrozumieniu, a są ładne i proste. Opowiadanie o Janku i leszczynowych gałązkach znajdujemy pod rozmaitymi tytułami w czytance dla drugiej i trzeciej klasy, co — zdaje się nie jest podyktowane żadnym szczególnym względem.

Czytanka dla czwartej klasy p. t. „U progu Polski" (Tync, Gołąbek, Duszyńska) daje najbardziej zajmujący materiał, który rzadko zdradza preparat dla zabiegów wychowawczych. Znalazło się też tu najwięcej nowych ustępów, a choć są wśród nich i mało interesujące i nieprzystępne, jak np. „Kobieta walczy", a szczególnie „To już", to jednak przewaga należy do dobrych i odpowiednich. Są tu ładne wiersze: „Mogiłka na skwerze", „Modlitwa za zmarłych" Wierzyńskiego, „Do brata i siostry w kraju" Hemara i wzruszający w swej niepodrabianej naiwności poemacik „U żłobka" Czechowiczówny. Najwięcej radości sprawia dzieciom „Historia o jednym chłopczyku i o jednym lotniku" Lechonia, gdzie wszystko, co trzeba, powiedziano dzieciom poprostu i pogodnie, tak jak trzeba.

Wszystkie czytanki ozdobione dodatkowo fotografiami bądź to dzieci polskich w Iranie, bądź Armii Polskiej na Środkowym Wschodzie.

Największa zaleta doskonałego „Języka polskiego" Klemensiewicza dla nas obecnie mieści się w części trzeciej, a mianowicie w tzw. „wiadomościach z lat poprzednich", gdzie krótko i przystępnie podano podstawowe wiadomości gramatyczne. Ich to właśnie, w takim układzie systematycznym, bezpretensjonalnym i — jeśli wolno użyć tego wyrażenia — „staromodnym" potrzeba dzieciom niejednokrotnie zaniedbanym, dla uzupełnienia braków.

Pomijając zagadnienia, związane z nową ortografią (wciąż jeszcze „nową") przyznać należy, że o użyteczności „Ćwiczeń w pisowni" Szweda stanowi nie tylko słownik ortograficzny, ale i dobór, układ i stopniowanie ćwiczeń, tak domowych jak szkolnych, i wskazówki autora.

Formy zewnętrznej całej serii, druku, strony graficznej, wyrazistości rycin i pisma, staranności korekty nie można się nachwalić, — dziecko dostaje do ręki nie tylko twór myśli ludzkiej, pomoc w nauce i przewodnika po nieznanym świecie, — ale i estetyczny, porządnie pod względem technicznym wykonany przedmiot, co szczególnie w czasie wojny, w czasie coraz to lichszych wytworów ręki ludzkiej, wskazuje jak bardzo wydawnictwo ceni naukę, a dziecko uczy się podziwu dla polskiej myśli i przywiązuje się tym silniej do niej.

sz.

OPINIE ANGIELSKIE

Na marginesie sporu polsko-rosyjskiego wysunięto w prasie brytyjskiej zarzut, że Polacy wydają w Wielkiej Brytanii zbyt wielką ilość czasopism, których antysowieckie nastawienie jest szkodliwe dla wysiłku wojennego Sprzymierzonych. Zarzut ten, rozdmuchany przez tę część prasy brytyjskiej, która zajmuje stanowisko nieprzychylne sprawie polskiej, wywołał aż interpelację parlamentarną. Czytelników „W Drodze" na pewno ciekawi, jak się tu rzeczy mają? Czy naprawdę jest za dużo pism polskich w Anglii? Czy naprawdę są aż tak nieumiarkowane?

Bogiem a prawdą, to pism polskich jest za dużo. Niektóre z nich reprezentują polską prasę fachową, jak n. p. „Lekarz wojskowy", „Biuletyn Stow. Techników", „Ekonomista polski" i. t. d., nie zużywają one zbyt wiele papieru — tak drogocennego dzisiaj w Anglii — bo mają przeważnie mikroskopijne nakłady, ale o tym przeciętny Anglik nie wie. Wie natomiast, że jest ponad 30 najrozmaitszych pism oficjalnych, nieoficjalnych, a nawet jedno nielegalne. Codziennych, tygodniowych, dwutygodniowych, miesięcznych, kwartalnych i nie-periodycznych; — partyjnych, bezpartyjnych, nawet ponadpartyjnych; wojskowych i cywilnych, medycznych, technicznych, katolickich, żydowskich; po polsku i po angielsku, niektóre — nomina sunt odiosa — choć przypominają język polski, nie mają z nim nic wspólnego; są pisma literackie i naukowe, ilustrowane i z pod ciemnej gwiazdy, faszyzujące, a nawet jest jedno komunizujące i wiele, wiele innych. Czy istnieje naprawdę konieczność tego masowego „wypowiadania się", pozostawiam ocenie czytelników „W Drodze". Osobiście wydaje mi się, że trochę więcej zmysłu obywatelskiego i trochę mniej wyobrażenia o własnej ważności zmniejszyłoby ilość pism a podniosło ich poziom — coby bynajmniej nie zaszkodziło.

Na drugie pytanie trudniej odpowiedzieć. Faktem jest, że niektóre pisma polskie od pierwszej chwili po zawarciu paktu rozpoczęły gwałtowną kampanię anty-paktową, ale ich wypowiedzi o Rosji zawsze szukały bodaj pretekstu obiektywności i nie można ich porównać z niewybrednymi wystąpieniami antypolskimi pisma komunistów brytyjskich „Daily Worker'a". W parlamencie były trzy interpelacje. Dwie przychylne Polsce, a trzecia nieprzychylna. W odpowiedzi Minister Informacji Brendan Bracken, ostro wystąpił przeciw pismu „Daily Worker" i jego oszczerczej kampanii. Gdy np. poseł Gallacher (komunista) starał się uzasadnić artykuły „Daily Worker'a" stanowiskiem, zajętym przez niektóre pisma polskie, minister odpowiedział: „Nie ma żadnego usprawiedliwienia dla tych skandalicznych słów, „Daily Worker" podawał w wątpliwość patriotyzm przywódców polskich, lecz „Daily Worker" nie jest autorytetem w sprawach patriotycznych". Stanowisko ministra wobec komunistów nie przeszkodziło jednak jego ironicznej uwadze o pismach polskich „drukowanych przez obywateli narodu, dla którego mam największy podziw, ale o którym mógłbym powiedzieć: gdziekolwiek spotkasz Polaka, tam znajdziesz gazetę". Ta ironiczna uwaga jest bardzo cierpka. Niektórzy Polacy uważają, iż jest niesprawiedliwa. 150 ton papieru, jakie prasa polska w Wielkiej Brytanii rocznie zużywa, nie jest naprawdę zbyt wielką ilością, ale z drugiej strony ponad 30 pism wydawanych dla społeczeństwa, które zgrupowane nie stworzyłoby miasteczka większego niż Tarnów, może dziwić Anglików. Ta groteskowa dysproporcja razi ich tym bardziej, że pisma te są skłócone nie tylko z Rosją — co byłoby może zrozumiałe, — ale często z własnym rządem i dają przez to łatwy cel wrogiej propagandzie.

Nie należy jednak przeceniać znaczenia tej sprawy. Na tle potężnych wydarzeń, jakie przeżywamy, jest ona naprawdę nieistotna i nieważna, i jeśli ją rejestrujemy, to czynimy to głównie z obowiązku dziennikarskiego.

* * *

J. B. Priestley jest znanym i cenionym pisarzem, jednak prawdziwą popularność zyskał sobie przez swe niedzielne pogadanki radiowe, które od wybuchu wojny wygłaszał. Nazywały się one „Postscript" i były przebojem, co się zowie. I choć kłuły swym radykalizmem w oczy wszystkich „plutokratów, rządzących Anglią", vox populi udaremniał długo wszelkie próby usunięcia Priestley'a od mikrofonu. A kiedy nareszcie udało się go usunąć, rozpętało to wielką burzę i wywołało aż interpelację w Izbie Gmin. Ten radykalizm pisarza bardzo religijnego i bardzo angielskiego jest znamienny i warto mu się bliżej przyjrzeć.

Priestley wydał w 1941 r. książkę p. t. „Out of the People". Zdaniem Pdiestley'a są trzy przeszkody na drodze do prawdziwej demokracji. 1) zanik wiary religijnej, 2) doskonałość współczenej organizacji władzy, przy której lud jest bezsilny, 3) rozwój wielkiego przemysłu i bankowości, który daje zbyt wielką władzę w ręce niewielu kierowniczych jednostek. „Pieniądz jest źródłem potęgi, zatem skarb państwa powinien być jedynym wielkim kapitalistą, tak jak jedynymi generałami i admirałami są generałowie i admirałowie w służbie państwa... Pieniądze powinny służyć tylko do wydawania i dawać ich właścicielowi władzę nad befsztykami, butelkami wina, książkami, biletem do teatru, ale nigdy nad innymi ludźmi".

Teorie Priestley'a są bardzo uogólnione. Książka jest raczej inwentarzem niż projektem, sprzątaniem gruzów i porządkowaniem placu przed trybunę polityczną, którą nazwał „1941 Committee". Był to pewnego rodzaju klub polityczny o dużej wadze gatunkowej ale małej wadze własnej. Do „1941 Committee" należeli pisarze, dziennikarze, uczeni i paru inteletualizujących polityków. W roku 1942 komitet Priestley'a połączył się z organizacją Sir Richard Acland'a, znaną pod nazwą „The Forward March" i założono partię polityczną „Common Wealth" ale to... jest już inna historia i opowiemy ją innym razem. W parę miesięcy po założeniu „Common Wealth'u" Priestley wystąpił z partii. Jest mimo wszystko bardziej literatem niż politykiem i nie umiał nagiąć się do rygoru partyjnego.

Obecnie wystawiają w Londynie sztukę p. t. „They Came to a City", osnutą na tle owych poglądów. „Gdzieś" stworzono idealnie miasto. Do tego miasta przychodzi w nocy 9 osób z wszystkich warstw społecznych. Jest to akt pierwszy, w którym poznajemy bohaterów sztuki. O wschodzie słońca wpuszczono ich do miasta. Priestley nie wprowadza widza do swego miasta. Nie opisuje. Ot, idealne miasto, idealne społeczeństwo. Wieczorem bohaterowie sztuki wychodzą z miasta i opisują swe wrażenia i reakcję na to nowe, inne, lepsze życie. Paru pozostaje, reszta wracaj „na ziemię". W motywach ich decyzji tkwi właściwa treść sztuki, a motywów tych łatwo może się domyśleć czytelnik „Out of the People". Zresztą nie chodzi w tej chwili o sztukę. Interesuje reakcja Anglików. Podobnie jak powodzenie „Postscript'ów" niedzielnych Priestley'a, jak fakt, iż poważna i trudna książka „Out of the People" była best-seller'em, tak i sztuka Priestley'a — choć też trudna i poważna — zapełnia co wieczór salę teatru. Żołnierze i panienki sklepowe objawiają równe zainteresowanie, co inteligencja i stare panie. To zainteresowanie jest znamienne dla Anglii dzisiejszej. Nie Anglii businessmen'ów z City, czy arystokratów z Carlton Club'u, ale dla Anglii ludowej — „Out of the People" — skąd jak się Priestley spodziewa, zrodzi się myśl i czyn, które stworzą nowy ład świata. Nie zmieniła się City. Nie zmieniła się zacofana arystokracja. Zmienił się natomiast lud. Bomby lecące na Londyn i inne miasta angielskie przełamały coś w zimnym i sobkowatym Angliku. Przemały tę niewidoczną granicę, jaka dzieli szarego człowieka i jego powszednie życie od bohaterstwa niecodziennego czynu. „Lud mniej się boi zmian przedwojennego ustroju niż rząd". „Lud chce skończyć raz na zawsze z lękiem. Lękiem przed utratą ciężko zapracowanej odrobiny bezpieczeństwa, lękiem że nie potrafimy zabezpieczyć naszych dzieci, lękiem przed jutrem".

Priestley nie stworzył swych teorii, ale instynktem artysty wyczuł prądy, nurtujące Anglię, i dał im wyraz w formie przystępnej i zrozumiałej dla ogółu. Stąd jego powodzenie.

Dominik Szczerbic

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Sicilides Musae, paulo maiora canamus! W noc z 9 na 10 lipca wojna weszła w nowe stadium: wojska sprzymierzone rozpoczęły inwazję na kontynent europejski. Ktoby protestował, twierdząc, że Sycylia to jeszcze nie kontynent, ten stałby na ciasno formalnym stanowisku. Sycylia jest naturalnym przedłużeniem półwyspu Apenińskiego. Od Kalabrii oddziela ją wąska — szerokości wszystkiego 3 km — cieśnina Messyńska. Jest okolicznością ogromnie wymowną, że począwszy od XI w. aż po wiek XIX Sycylia wraz z południowymi Włochami stanowiła jednolity organizm polityczny: królestwo Obojga Sycylii.

Lądowanie nastąpiło w momencie, kiedy fala enuncjacji, komunikatów, pogłosek, zapowiadających bliskie otwarcie przez Sprzymierzonych drugiego frontu, wyraźnie opadła. Komunikaty niemieckie zaczęły już nawet dawać do zrozumienia, że — podobnie jak to już miało miejsce kilkakrotnie przedtem — tak i teraz skończy się na samych zapowiedziach. Równocześnie Niemcy rozwinęli żywą akcję propagandową, mającą wpoić w ludzi przekonanie, że umocnienia „twierdzy europejskiej" są wyjątkowo silne i trudne do zdobycia.

Nic też dziwnego, że wiadomość o lądowaniu wojsk Sprzymierzonych na Sycylii wprawiła propagandę niemiecką w wyraźne zakłopotanie. Ktoby chciał wagę wydarzeń wojennych oceniać według tego, ile miejsca zajmują one w niemieckich komunikatach, musiałby dojść do przekonania, że operacje naprawdę ważne i istotne dzieją się na froncie rosyjskim, że sprawą ważną — choć oczywiście dla Niemców mocno nieprzyjemną — są brytyjskie naloty na Zagłębie Ruhry, że ważnym jest to, co się dzieje na morzach, i że poza tym jakieś drugorzędne operacje, o których trzeba z obowiązku wspomnieć, ale nad którymi nie warto się szerzej rozwodzić, toczą się na Sycylii.

Rzecz prosta, Niemcy tak nie myślą. Napewno rozumieją dobrze, że wybiła fatalna godzina otwarcia drugiego frontu. I to naprawdę drugiego. Lądowanie Sprzymierzonych wyprzedziła bowiem o kilka dni dość nieoczekiwana, zważywszy na mocno już zaawansowane lato, ofensywa niemiecka na odcinku Biełgorod, Kursk, Orzeł, o której charakterze i doniosłości za wcześnie jeszcze mówić, ale która jest operacją na wielką skalę (i to nawet jeśli przyjmiemy duży dzielnik dla podawanych przez obie strony fantastycznie wysokich cyfr strat nieprzyjacielskich).

W jakiej mierze niemiecka machina wojenna odczuje otwarcie tego drugiego frontu? Rzecz oczywista, zaangażowania w akcji bojowej tych kilku niemieckich dywizji, które zostały posłane na Sycylię — ilość wojsk niemieckich na Sycylii ocenia się na około 100.000 żołnierza — nie odczują jeszcze Niemcy jako ciężkiego wysiłku. Walki na Sycylii stawiają jednak przed szeregiem poważnych i trudnych do rozwiązania zadań niemiecką Luftwaffe. Na froncie wschodnim Niemcy musieli skoncentrować wielką liczbę samolotów. Znaczną liczbę myśliwców niemieckich wiążą olbrzymie naloty na Zagłębie Ruhry i północną Francję. Stąd otwarcie drugiego frontu na Sycylii jest dla lotnictwa niemieckiego ogromnym obciążeniem i nie bardzo widać, jak obciążeniu temu będzie ono mogło sprostać. Z danych, jakie przynoszą komunikaty, zdaje się wynikać, że przewaga Sprzymierzonych w powietrzu jest jeszcze większa niż w czasie kampanii tuniskiej. Jest rzeczą zastanawiającą, że przeprowadzenie operacji desantowych kosztowało Sprzymierzonych wszystkiego dwadzieścia kilka samolotów.

Poza tym nie należy zapominać, że im dłużej kampania włoska będzie trwała, tym więcej będą musieli Niemcy rzucić na ten front sprzętu wojennego i amunicji. Jest bowiem rzeczą wykluczoną, aby przemysł włoski, słabo rozwinięty i w bardzo drobnej mierze dysponujący własnymi surowcami, mógł na potrzeby takiej kampanii wystarczyć.

Walki na Sycylii będą tylko pierwszym etapem tej kampanii. Ale samo oczyszczenie Sycylii z wojsk osi da już Sprzymierzonym jedną ważną doraźną korzyść. Oto o ile zwycięska kampania tuniska i zdobycie Pantellarii pozwoliły na przerzucanie transportów przez morze śródziemne, to zdobycie Sycylii znakomicie zwiększy bezpieczeństwo tych transportów.

Komunikaty doniosły, że w operacjach morskich, które towarzyszyły lądowaniu wojsk Sprzymierzonych, brały udział także i jednostki polskiej marynarki wojennej. Cztery lata perypetii wojennych, walki wojsk polskich na tak egzotycznych dla nas terenach, jak Narvik czy Tobruk, starły już w nas wrażliwość na całą niezwykłość tej sytuacji — okrętów polskich, osłaniających lądowanie wojsk brytyjskich, amerykańskich czy kanadyjskich na Sycylię. Trudno się jednak oprzeć uczuciu satysfakcji na myśl, że w momencie, który oznacza rozpoczęcie działań ofensywnych Sprzymierzonych w Europie, nie zabrakło i naszego udziału.

ww.

WAŻNE DLA P. P. WOJSKOWYCH!
NA SEZON LETNI
poleca w wielkim wyborze
mundury drelichowe i wełniane, szorty, koszule gotowe i na zamówienie, bieliznę trykotową, oraz wszelkie artykuły i galanterię wojskową a także ręcznie haftowane dystynkcje.
GUR-ARIEH
(Właśc. A. Gurman)
TEL-AVIV, ul. ALLENBY 83

Nowość
WŁADYSŁAW BRONIEWSKI
BAGNET NA BROŃ
Poezje 1939-1943
Cena: 150 milsów.
Na papierze czerpanym: 250 milsów.
Do nabycia:
w **Jerozolimie:** księgarnie „Igarta", Steimatzky, Ever, „Universitas", Hasefer, kiosk Egged.
w **Tel-Avivie:** księgarnie „Renaissance", „Mikra", „A.B.C.", Siegel; kiosk Stadler.
Skład główny:
Wydawnictwo „W Drodze", Jerozolima.

Polskie wsie w Afryce

Korespondencja własna „W Drodze"

Nairobi, w maju 1943 r.

Leżą przede mną dwie fotografie. Jedna z nich wyobraża chałupę, pobieloną wapnem krytą strzechą, druga kapliczkę przydrożną, uczepioną do drzewa. Takich chałup i takich kapliczek są setki, tysiące w całej Polsce. Dopiero kiedy bliżej przyjrzymy się fotografii, spostrzegamy przez domem szereg kaktusów, tam gdzie zazwyczaj rosły malwy i słoneczniki.

Fotografia ta nie przedstawia domku w jakimś Miedzeszynie lub Bożęcinie. Jest to jeden z domków, w których mieszkają nasi uchodźcy w osiedlu Koja nad jeziorem Victoria. A ten krzyż przy

Tangeru (Tanganika)

drodze nie stoi na jakimś rozdrożu w Miłośnie, ale na płaskowzgórzu Ugandy w Masindi.

Nie wszystkie domy osiedli polskich w Tanganice i w Ugandzie mają taki wygląd. Większość to są okrągłe „tukule", kryte spiczastą strzechą ze słomy lub trzciny. Ale coraz więcej buduje się domów, przypominających nasze chaty wiejskie. Coraz bardziej osiedla, pobudowane przez Anglików przed przyjazdem uchodźców, przypominają wieś polską. Są to wielkie wsie, liczące do trzech tysięcy mieszkańców. Długie szeregi domów ciągną

Kawałek drogi przez wioskę w Osiedlu Koja (Uganda)

się na przestrzeni kilometrów. Są to „babskie wsie". Przeważają w nich kobiety i dzieci. Gdy przejeżdża się przez taką wieś, spostrzega się od razu, że mężczyzna jest tu rzadkością, inwalidą lub niezdolnym do służby wojskowej.

Wieś taka jest białą oazą na czarnym lądzie. Na przestrzeni, ciągnącej się od Ugandy i Kenii po Tanganikę i Południową Rodezję, mieszka około dwunastu milionów murzynów. Europejczycy

Nasz klown „Kubuś" (z cyrku Staniewskich) zabawia dzieci... i starszych. Osiedle Masindi (Uganda)

stanowili i stanowią tylko nieznaczny odsetek ludności tych krajów. Procent ten wzrósł nagle dzięki przybyciu około piętnastu tysięcy Polaków, którzy wydostali się z Rosji. Najwięcej ich jest w Ugandzie i w Tanganice. Zaczynają obecnie napływać do Południowej i Północnej Rodezji, gdzie dotychczas była tylko licząca około 500 osób grupa t. zw. „gości Jego Królewskiej Mości", uchodźców, którzy kilka miesięcy w swej wędrówce spędzili na Cyprze.

Jak ci przybysze z Polski zareagował na nowe warunki? Jak czują się w tym tropikalnym klimacie po mrozach Archangielska, po pobycie w tajdze, w lasach Syberii i północnej Rosji, w obozach, w których byli skazani na przymusową pracę, nędzę i głód? Jak zareagowały na te nowe warunki kobiety, oderwane od swych domów i mężów, dzieci, z których wiele straciło rodziców?

Możemy na to pytanie odpowiedzieć już nie na podstawie domysłów. Osiedla same na to pytanie odpowiedziały drukowanym słowem. Nie jest to wprawdzie maszyna drukarska, ale powielacz i maszyna do pisania. W każdym osiedlu jest wydawana gazetka ścienna. Harcerze mają swe własne pisemka. W Tengeru, w Tanganice ukazał się już drugi numer „Głosu Harzerzy", pisemka odzwierciedlającego życie naszej młodzieży w Afryce. Jest ono ilustrowane. Informuje o naszej młodzieży, znajdującej się w warunkach, które opisał nam Sienkiewicz w swojej powieści „W pustyni i w puszczy". Jakie były pierwsze myśli i dążenia tej młodzieży? Przede wszystkim zaczęli sobie przypominać, jak to było w kraju. Zaczęli spisywać, co kto pamiętał, lub słyszał. Po pierwszych wycieczkach w góry, pociągające swoją zielenią, tak odmienne od Irańskiej pustyni, zaczęli się zbierać, przypominać sobie piosenki harcerskie i już po paru tygodniach odbyło się pierwsze ognisko, a nieco później utworzyły się drużyny, związane w hufiec, liczący przeszło 500 harcerzy. Obecnie we wszystkich osiedlach jest już około 2.000 harcerzy.

Nie będę się zatrzymywał nad tym, co dali naszemu uchodźctwu Anglicy, przygotowując osiedla, co uczyniły i czynią Delegatura i Konsulat. Przedstawienie chociażby w krótkim zarysie tej olbrzymiej pracy, dokonanej w ciężkich warunkach przez przedstawicieli władz polskich, nie dałoby się zamknąć w ramach jednego artykułu lub felietonu. Same suche dane statystyczne, dotyczące organizacji osiedli i pokrywania ich codziennych potrzeb wypełniłyby całą broszurę. Zabiegi zmierzające do wypełnienia czasu skazanych na bezczynność uchodźców, do zajęcia ich pracą produktywną, do uprzemysłowienia osiedli, do jak najdalej posuniętej ich samowystarczalności, zapełniłyby już nie broszurę, ale książkę, w której przede wszystkim trzebaby zwrócić uwagę na niesłychane trudności, z jakimi muszą walczyć nasze władze, by w ciężkich warunkach wojennych uruchomić warsztaty, zdobyć konieczne narzędzia, zatrudnić uchodźców, nie naruszając zasady, iż „biały człowiek" nie może tu fizyczne pracować, pomijając fakt, iż praca jego nie może konkurować z pracą tubylca, którego maksymalny zarobek miesięczny wynosi 12 szylingów.

Jak czują się w tych warunkach te tysiące kobiet oderwanych od ognisk domowych? Czy pogrążyły się w narzekaniach i tęsknocie, czy rozpaczają i rozmyślają nad przeszłością, czy też.....

Sprawozdania, nadsyłane do Delegatury i Konsulatu, dają na to pytanie wymowną odpowiedź. Poza pracą, związaną z uprzemysłowieniem osiedli i z dążeniem do ich samowystarczalności, wszędzie powstały teatry, są wygłaszane odczyty, zawiązują się chóry, powstają pracownie, z których wychodzą lalki, przebrane w polskie kostiumy regionalne. Wszystko to daje wyraz nie tylko tęsknocie za Polską, ale stara się przynajmniej w ten sposób zastąpić brak kraju odtwarzając uchodźczyniom na ziemi afrykańskiej to, czym żyły i co robiły, kiedy minęły godziny pracy.

W nowych warunkach, do których nasi uchodźcy przystosowali się nadspodziewanie szybko, czują się bardzo dobrze.

„Jest tu cudnie — pisze jedna z uchodźczyń — mieszkamy u podnóża góry Meru. Robimy wycieczki, jak w Tatrach. Cudowne są plantacje kawy, mango, kopry. Piękne są osiedla plantatorów. żyją tu jak w raju. Ale i nam jest tu bardzo dobrze. Jedzenia i owoców w bród. Szkoły, szpital ślicznie położone, duże i ładne, chociaż chorych tu mało prócz malarii".

A oto inny list, tchnący zapałem do pracy: „Praca, to życie, to szczęście istnienia. To przyszłość nasza i naszych dzieci — to przyszłość naszej Ojczyzny. Tymczasem nie wszyscy garną się do tej pracy. Wciąż im się zdaje, że są tam, gdzie pracowali pod przymusem, dla obcych, albo że lada dzień pojadą dalej, jak dotąd bywało".

Przeżycia lat wojny ciążą jeszcze nad duszą naszego uchodźctwa . Lata spędzone w więzieniu, na wygnaniu, w obozach pracy i na osiedleniu nie dadzą się nigdy całkowicie zatrzeć. Wspomnienia budzą się nagle, jak koszmar i zasłaniają wszystko.

Oto naprzykład wiersz, nadesłany przez jedną z uchodźczyń do dwutygodnika „Polak w Afryce", wydawanego w Nairobi:

Mróz Archangielski kołacze do drzwi,
Dziecina nie śpi, z zimna drży;
Matuś ją tuli, oddechem swym grzeje,
A za oknami wicher szaleje.

Jeszcze bardziej ponury jest dalszej ciąg tej zesłańczej kołysanki:

Niecka do prania — to twa kolebka,
Barak ponury — twoja izdebka
Wrzątek, chleb czarny — to pokarm twój
Cóż mogę dać ci? Los taki mój.

Cicho! Usnęła wygnanka mała,
Matula śpiewem ukołysała.
Niech ci się przyśni dawna chatyna,
Jak w bajce piękna Polska kraina.

Pracują, są na ogół biorąc karni, budują swoje nowe życie w Afryce, ale tęsknota za krajem i rodziną nie opuszcza ich ani na chwilę. List, nadesłany do redakcji „Polaka w Afryce", zaczyna się od słów: „Kochani żołnierze, Znów piszemy do Was, ciesząc się, że chociaż tą drogą możemy z Wami porozmawiać. Czy wiecie, jak tęsknimy za Wami?

Nie mniej wzruszający jest koniec tego listu: „Obraz Polski będę nosiła niezmiennie do końca dni moich. Choćbym z dala od niej umrzeć miała. Dzieci moje, które są i Twymi, wychowam w miłości i tęsknocie za Tobą, aby Cię kochały i czciły, gdy nadejdzie czas".

J.K.

OPERA EREZ ISR. AMAMIT

Repertuar na terenie Palestyny
od dnia 15 do dnia 31 lipca

15 lipca	Tel-Aviv	—	PIĘKNA HELENA
19 "	Tel-Aviv	—	BAL MASKOWY (występ G. Schocken)
26 "	Tel-Aviv	—	CAVALERIA RUSTICANA I PAJACE
27 "	Rechowoth	—	PIĘKNA HELENA
29 "	Haifa	—	PIĘKNA HELENA
31 "	Tel-Aviv	—	PIĘKNA HELENA

Udzielamy pożyczek

w każdej wysokości na najniższych warunkach, pod zastaw brylantów, złota, srebra i wszelkich wartościowych towarów. Kupujemy po wysokich cenach, wyroby ze złota i srebra

LOMBARDHOUSE
RITTER & OHRENSTEIN
TEL-AVIV, ALLENBY 64

Z prasy obcej

O integralność Polski

Londyński tygodnik **„The Weekly Review"** poświęca wstępny artykuł w numerze z dn. 29 kwietnia b. r. omówieniu znaczenia Polski w obecnej wojnie. Artykuł ten p. t. „Naród polski" rozpoczyna się od stwierdzenia, że „The Weekly Review" przez cały czas obecnej wojny stale głosił tezę, iż odbudowa silnej i niepodległej Polski jest jednym z głównych celów obecnej wojny: „Sprawa jest całkowicie jasna. Jako mocarstwo europejskie gwarantowaliśmy integralność Polski. Słusznie czy niesłusznie odmówiliśmy przyjęcia zobowiązań, że będziemy walczyć o niepodległość Czechosłowacji, ale Polsce udzieliliśmy uroczystej gwarancji, i z chwilą gdy wojska niemieckie przekroczyły jej granice, wypowiedzieliśmy wojnę..."

„Rosja, która współdziałała z Niemcami celem pognębienia Polski, sama została następnie napadnięta przez swego poprzedniego partnera i niewątpliwie byłaby już dawno rozgromiona, gdyby nie szczodra pomoc Wielkiej Brytanii i jej aliantów, między którymi należy wymienić na wysokim miejscu samych Polaków". Istnieje obawa, że alianci mogą zapomnieć o krzywdach, wyrządzonych narodom, w szczególności temu, który pierwszy stawił opór barbarzyństwu i dotąd bohatersko go stawia.

Zapomnienie to może okazać się fatalnym: „Jeśli sprawimy zawód Polsce, sprzeniewierzymy się szerszej sprawie cywilizacji, której zobowiązaliśmy się bronić". Gdyby Traktat Wersalski odpowiednio wzmocnił Polskę gospodarczo i strategicznie, zapewne możnaby było uniknąć obecnej wojny. Powtórzenie tego samego błędu obecnie może utorować drogę do trzeciej wojny światowej.

„Nie można tych spraw, dotyczących naszego honoru i naszego bezpieczeństwa, dostatecznie silnie pokreślać. Zapomnienie o nich albo pójście dziś po linii najmniejszego oporu naruszy słuszność naszej sprawy i całe tworzywo europejskiej rekonstrukcji... Dla nas otwarta jest tylko jedna droga, zgodna z honorem. Integralność Polski musi być utrzymana".

„Cele wojny a małe narody"

Pod takim tytułem londyński tygodnik **„Time and Tide"** w numerze z dn. 17 kwietnia zamieszcza artykuł, nawiązujący do artykułu p. t. „Wielkie i małe narody", ogłoszonego w „Times'ie" z dn. 23 marca.

„Na szachownicy europejskiej — czytamy w tym artykule — nie stoją same tylko królowe i pionki. Konie i wieże, jak również i pionki w miejscach strategicznie ważnych, mogą kontrolować i naprawdę kontrolują ruchy większych figur. Rozpaczliwy opór mniejszych narodów, wynikający z namiętnej woli zachowania indywidualności narodowej, był zbyt spóźniony, aby mógł je uratować przed napastnikiem, ale dla nas odwleczenie uderzenia nieprzyjaciela oznaczało różnicę między zwycięstwem a klęską".

Nie wolno zatem lekceważyć mniejszych narodów, których współpraca będzie poważnym czynnikiem przy budowaniu przyszłego porządku w Europie. Pismo odrzuca koncepcję Europy, któraby pozostawała pod wspólną opieką ZSRR i Wielkiej Brytanii, uważając iż jest ona zbyt uproszczona oraz iż nie docenia wielu istotnych trudności: „Żadne wielkie mocarstwo nie może się samo obronić, a Wielka Brytania z uwagi na swe drogi komunikacyjne, które łatwo mogą być zagrożone, i na swą absolutną zależność od swobody handlu światowego, niewątpliwie zyska jak najwięcej na najpełniejszym umiędzynarodowieniu tych wszystkich dziedzin, gdzie nie kłóciłoby się ono z narodowym bezpieczeństwem i z dobrobytem".

Artykuł przypomina następnie, że szereg przedstawicieli mniejszych narodów oświadczył, iż neutralność jest niemożliwa, oraz zgodził się na pewne ograniczenie suwerenności państwowej. Ale to samo dotyczy także i wielkich mocarstw, jak o tym świadczą projekty międzynarodowego uregulowania spraw walutowych (Keynes'a i White'a). Pismo przypomina też zapewnienia Majskiego z września 1941 r., że „ZSRR broni prawa każdego narodu do niepodległości i integralności terytorialnej". W zakończeniu autor artykułu powołuje się na opinię Beveridge'a, który twierdził, że przyszły świat powinien rządzić się zarówno w stosunkach między narodami, jak i w ramach każdego narodu sprawiedliwością, dysponującą sankcją siły. Tylko ta teza, a nie anachroniczne teorie „równowagi sił", może być podstawą pokoju.

Artykuł ten wywołał dwa polskie odgłosy. W numerze pisma z dn. 24 kwietnia znajdujemy obszerny list do redakcji, pióra p. Stefana Aubac'a, b. paryskiego korespondenta „Kuriera Warszawskiego", zatytułowany „Moralność polityczna narodów". Autor nawiązuje do dwóch artykułów „Timesa" z 10 i z 23 marca i zarzuca ich autorowi zupełne pominięcie czynnika moralności politycznej. A przecież Wielka Brytania złożyła w trakcie obecnej wojny liczne dowody wielkości moralnej. List kończy się następującymi słowami: „Wielkie czy małe narody — nie tu tkwi zagadnienie. Trzeba wybierać między małością serca a wielkością moralną. Jeżeli naród silny wojskowo okaże się również silnym moralnie, potrafi on rozwiązać zarówno zagadnienie pokoju, jak i szczęścia".

Drugim polskim głosem jest list Zbigniewa Grabowskiego, zamieszczony w numerze pisma z dn. 1 maja. Grabowski występuje tu przeciwko zalecanej przez „Times'a" mechanistycznej metodzie politycznej, owianej duchem „Grossraumpolitik". Kierunkiem naprawdę twórczym, mimo że znacznie trudniejszym, jest wspólne ponoszenie odpowiedzialności za bezpieczeństwo Europy przez wszystkie zamieszkujące ją narody, bez względu na to czy duże, czy małe.

Wreszcie list Aubac'a sprowokował do zabrania głosu w numerze pisma z dn. 8 maja, F. B. Lockharta, który pisze, że samo zwrócenie uwagi na moralność polityczną „jest dzisiaj orzeźwiającą nowością, mimo że podstawy dla nadziei są małe". Autor przytacza przy tej okazji zdanie, zacytowane z angielskiego podręcznika historii Rosji, z ustępu, mówiącego o pierwszym rozbiorze: „Obie strony ponosiły winę, ale podczas gdy napastnicy zawinili całkowitym brakiem zasad, winą ofiary była jedynie egzageracja zasady i polityczne roztargnienie (political absence of „mind").

O nowe Austro-Węgry

Londyński miesięcznik **„The Contemporary Review"** przynosi w zeszycie majowym artykuł austriackiego polityka Ernesta Kleina o „Konfederacji Naddunajskiej", agitujący za stworzeniem nowych, rozszerzonych Austro-Węgier i ostro atakujący koncepcję federacji polsko-czechosłowackiej. Klein jest zdania, że „federacja ta nigdy nie może stać się punktem wyjścia dla bloku regionalnego, obejmującego kraje Europy Środkowej wschodniej i południowo-wschodniej", ponieważ oba kraje należą — jak twierdzi — do różnych obszarów geograficznych: Polska — do bałtyckiego, Czechosłowacja — do naddunajskiego.

Klein wysuwa koncepcję bloku naddunajskiego, obejmującego prócz Czechosłowacji Austrię, Węgry, Jugosławię i Rumunię. Blok taki byłby kontynuacją monarchii austro-węgierskiej. Zaleca on przy tym — i tu najwyraźniej wychodzi na jaw austriackie szydło z jego naddunajskiego worka — przywrócenie monarchii austriackiej, ponieważ tylko „silna władza centralna jest najlepszym zabezpieczeniem przeciwko powtórzeniu się niemieckiej napaści". Wyraża on nadzieję, iż prez. Benesz zrozumie lekcję historii i nie będzie występował przeciwko restauracji Habsburgów. Dla Polski widzi on jedynie możliwości stworzenia federacji z państwami bałtyckimi. Dopiero taka Konfederacja Bałtycka mogłaby razem z Konfederacją Naddunajską stworzyć nadrzędny blok.

Artykuł Kleina jest wyrazem niebezpiecznych dla nas tendencji, zdążających do izolodania Polski w Europie środkowej.

Niemcy w walce z katolicyzmem

W tygodniku **„Time"** z dn. 7 czerwca czytamy: „Hitlerowskie Niemcy w ciągu dziesięciu lat bezlitosnej walki, mającej na celu podsunięcie katolikom ich „Weltanschauungu", atakowały Kościół za pomocą jak najpotworniejszych oskarżeń. Oczerniały one kler jako sprzedajną, amoralną politycznie, intrygancką, zdradziecką „czarną międzynarodówkę". W ubiegłym tygodniu przyszło najzjadliwsze oskarżenie: że Kościół rozpętał drugą wojnę światową.

W marionetkowym radio paryskim przymilnym głosem „dra Friedricha" (Sieburga, wybitnego niemieckiego dziennikarza, autora sławnej książki „Czy Bóg jest Francuzem?") podano w następującym fałszywym skrócie dzieje stosunków Watykanu z Niemcami od chwili podpisania w r. 1933 konkordatu, opracowanego przez kardynała Pacelli i Franza v. Papena:

„Dokładne studia... pozwoliły mi uświadomić sobie przytłaczającą odpowiedzialność Kościoła w rozpętaniu obecnej wojny. Watykan zajął wrogą postawę od chwili, kiedy Hitler doszedł do władzy w r. 1933... Przy poparciu i zachęcie Rzymu wielu niemieckich katolików rozpoczęło otwartą walkę z państwem narodowo-socjalistycznym...

Prasa katolicka — mówił dalej „dr Friedrich" — postawiła na tym samym poziomie komunistyczny ateizm i hitlerowskie pozytywne chrześcijaństwo. Encyklika papieża Piusa IX „Mit brennender Sorge..." nie tylko potępiła totalitarną koncepcję państwa, ale także zasady narodowego socjalizmu w kwestji krwi i rasy... Postawa papieża przyczyniła się w dużej mierze do rozwinięcia się psychozy wojennej... Liczni wojujący katolicy francuscy przyłączyli się do kliki podżegaczy wojennych. Ten szczekający chór ponurych psów został skompletowany w momencie, gdy kardynał Verdier w grudniu r. 1937 oświadczył, że doktryna chrześcijańska i zasady demokracji są z gruntu identyczne".

„Dr Friedrich" mówił po francusku. Wraz z innymi kreaturami Goebbelsa — przemawiającymi z radia rzymskiego — starał się on podnieść ukryty antyklerykalizm narodów łacińskich. Hitlerowcy, obawiając się, aby dyplomacja Watykanu nie stanęła po stronie narodów sprzymierzonych, wyruszyli do walki ze swymi typowymi ciężkimi atakami.

Radio watykańskie odpowiedziało:

„Cały świat zna fakty, dotyczące losów Kościoła Katolickiego w Niemczech... Twierdzenia zatem radia paryskiego nie potrzebują dalszych zaprzeczeń. Możemy się tylko domyślać, że wypuszczono je dla celów propagandowych...

Jedno jest pewne: to nie Watykan wypowiedział tę wojnę i nie Kościół Katolicki w Niemczech ściągnął ten los na siebie".

Życie polityczne Argentyny

Perypetie ostatniego przewrotu argentyńskiego zwróciły uwagę całego świata na ten kraj. O jego życiu politycznym informuje londyński tygodnik **„The Spectator"** w numerze z dn. 11 czerwca.

Argentyna jest republiką, której konstytucja obdarza prezydenta bardzo dużymi pełnomocnictwami. Od r. 1912 wprowadzono w Argentynie wybory do parlamentu powszechne, tajne, przy czym — co najciekawsze — udział w wyborach jest obowiązujący dla wszystkich obywateli. Życie polityczne Argentyny ułożyło się w system dwóch partii: radykalnej i konserwatywnej. Od r. 1916 do 1930 bez przerwy rządzili krajem radykałowie. W r. 1930 władzę zdobyli drogą zamachu stanu konserwatyści, sprzymierzeni z frondującą grupą radykałów, z t. zw. antypersonalistami. Stworzyli oni razem rząd koalicyjny, (t. zw. Concordancia), który miał w swym ręku władzę aż do ostatniego przewrotu. Zdaniem autora artykułu, nie posiadali oni większości w społeczeństwie i Concordancia mogła utrzymać się tak długo przy władzy tylko dzięki machinacjom wyborczym. Nie czuła się ona jednak pewnie i dlatego w grudniu 1941 r. prezydent Castillo ogłosił „stan oblężenia", zawieszając wolność prasy.

W polityce zagranicznej rząd prez. Castillo stał na stanowisku neutralności. Znalazł się z tego powodu w konflikcie z Izbą Deputowanych, która we wrześniu ub. r. zalecała rządowi zerwanie z państwami osi. W obozie sprzymierzonych pozostawanie w Argentynie ambasad niemieckiej i włoskiej uważa się za okoliczność wysoce niepomyślną. Buenos Aires stało się przez to centrum informacyjnym państw osi i ośrodkiem dyspozycyjnym amerykańskiej Piątej Kolumny.

Adres Redakcji: Polish Information Centre, Jerusalem, Bezalel Street, House Valero.

Wydawca: Ignacy Pokrywa
Redaktor: St. A. Balicki
Drukarnia: The Jerusalem Press